



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Wtorek, 10 maja 2022 | Redaktor prowadzący Wojciech Maziarski | Cena gazety 5,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 107.9995, 2

Nakład 65 tys. + 280 tys. prenumerat cyfrowych



FOT. ALEXANDER ZEMLIANCHENKO/AP

Moskwa

PUTIN: OBRONA PRZEZ ATAK

Wbrew wcześniejszym spekulacjom Władimir Putin 9 maja nie ogłosił ani wojny, ani zwycięstwa, ani mobilizacji. Powtórzył tylko, że Rosja, atakując Ukrainę, sama się broni. Na trybunie honorowej nie pojawił się szef sztabu generalnego gen. Walerij Gierasimow. Ukraińcy podawali, że został ranny w Donbasie. Moskwa temu zaprzecza.

• O rosyjskim Dniu Zwycięstwa
► 4-5

Polska

Kompromitacja prokuratury

Prokurator z Warszawy tak się rozpędziła z umarzaniem spraw dotyczących szcucia na Ukraińców, że umorzyła nawet te wątki, które już zakończyły się prawomocnym skazaniem ► 8

Analiza wyborcza

Stracona szansa

Gdyby w 2019 r. KO, SLD i PSL utworzyły koalicję, zdobyłyby o 19 mandatów więcej, a PiS straciłby władzę. Andrzej Machowski ponownie analizuje dane ze wszystkich okręgów ► 14

ROSYJSKA INWAZJA
NA UKRAINĘ NA
WYBORCZA.PL

Aktualne informacje,
rzetelne analizy,
nieoczywiste opinie na
Wyborcza.pl

Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



2 RP

Rosyjski Dzień Zwycięstwa w Warszawie

Ambasador oblany farbą

Mimo negatywnego stanowiska polskiego MSZ oraz władz stolicy ambasador Rosji postanowił złożyć kwiaty pod pomnikiem Żołnierzy Radzieckich w Warszawie. Uczestnicy demonstracji oblali go czerwoną farbą

Aleksander Stawiński

Rosjanie początkowo chcieli zorganizować 9 maja w Warszawie tradycyjne obchody rosyjskiego święta z okazji zakończenia II wojny światowej. Ale dwa dni przed tą datą, po słowach prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego, który powiedział, że „nie ma jego zgody na święto agresora w Warszawie”, i po negatywnej rekomendacji polskiego MSZ, ambasada Rosji zmieniła plany.

Wycofała się co prawda z obchodów, ale równocześnie zapowiedziała, że ambasador Siergiej Andriejew i takłoży na cmentarzu kwiaty. Było więcej niż pewne, że taka deklaracja nie pozostanie bez echa. Dzień wcześniej w czasie ulicznego protestu antywojennego w Warszawie jego uczestnicy zapowiadali, że nie pozwolą ambasadorowi złożyć kwiatów.

W poniedziałek od samego rana pod cmentarzem Żołnierzy Radzieckich panowała gorąca atmosfera. Dwie godziny przed przyjazdem ambasadora przy wejściu na cmentarz zaczęli się gromadzić protestujący z antywojennymi hasłami. Ale na miejscu zbierali się nie tylko przeciwnicy rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Polscy zwolennicy Putina

Były także osoby, w większości Polacy, z pomarańczowo-czarnymi wstążkami św. Jerzego. Od czasu aneksji Krymu to jeden z symboli wsparcia dla agresywnej polityki Władimira Putina wobec Ukrainy. Prorosyjscy demonstranci przekonywali, że Putin walczy z „nazistami”. Wykrzykiwali także homofobiczne i antysemickie hasła. Klótnie były coraz ostrzejsze, padały wyzwiska.

W tym samym czasie pod bramą odbywał się happening. Jego uczest-



• Ambasador Rosji w Polsce Siergiej Andriejew wczoraj na cmentarzu Żołnierzy Radzieckich

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

nicy położyli się na ziemi w ubraniach oblanych czerwoną farbą. – Tak wyglądają nasze ulice. Takie widoki to dla Ukraińców codzienność – mówił Wołodymyr, pomysłodawca akcji. – Dziś mamy nie dzień zwycięstwa nad faszyzmem, ale dzień odrodzenia faszyzmu – dodawała Natalia Panczenko z Euro-majdanu Warszawa.

Gdy w południe przed bramą zatrzymał się samochód z ambasadorem, tłum zaczął napierać na ochraniających go policjantów, których było niewielu. Andriejew wysiadł, a protestujący skandowali: „Faszyści!”. Ktoś z tłumu rzucił w ambasadora czerwoną farbą. Była to ukraińska dziennikarka Iryna Zemlyana,

która przyznała się do tego w mediach społecznościowych. Andriejew oraz jego ochrona cofnęli się do samochodu.

W ruch poszły pięści

Zaczęły się przepychanki między przeciwnikami i zwolennikami Putina. Ci pierwsi próbowali przegonić prorosyjską grupę spod pomnika i uniemożliwić jej złożenie kwiatów. Poleciały butelki, w ruch poszły pięści, ktoś upadł z rozciętą głową. Policjanci przybiegli dopiero po kilku minutach, gdy demonstranci sami już się uspokoili. – Zrujnowali nasze święto – żalił się Siergiej Andriejew.

Ambasada Rosji po południu wezwała polskie władze do umożliwienia jej jeszcze tego samego dnia złożenia kwiatów, ale tym razem już w asyście policji.

– To incydent ze wszech miar godny ubolewania, który nie powinien mieć miejsca – komentował szef MSZ Zbigniew Rau. A minister spraw wewnętrznych Mariusz Kamiński mówił: – Zgromadzenie było legalne. Emocje ukraińskich kobiet biorących udział w manifestacji, których mężowie dzielnie walczą w obronie ojczyzny, są zrozumiałe. ●

• Komentarz ► 2

Bartosz T.
Wielński



Polskie władze zawiodły

Oglądam nagrania ataku na rosyjskiego ambasadora Siergieja Andriejewa, którego podczas składania kwiatów na cmentarzu Żołnierzy Radzieckich oblanono czerwoną farbą. Dyplomata – to moje subiektywne wrażenie – nie wydaje się zaskoczony tym, co się stało. Maria Zacharowa, goebbelsowska propagandzistka na stanowisku rzeczniczki MSZ, z niesamowitą szybkością jak na rosyjską biurokrację wydała potępiające oświadczenie. „Wielbiciele neonazizmu po raz kolejny odsłanili twarz” – napisała.

Twarz oblanego czerwoną farbą ambasadora idealnie pasuje do słów Putina z dzisiejszej defilady na placu Czerwonym, gdy mówił, że to Rosja oddaje hołd ofiarom wojny, a Zachód nimi pogardza. Rosyjska propaganda dostała materiał, który będzie grać.

Nie mam pretensji do ukraińskich działaczy ani do przyjaciół Ukrainy w Polsce, że protestowali na wojskowym cmentarzu. Ambasador nie miał moralnego prawa tam przebywać. Jego zwierzchnik, prezydent Putin, porównując w swoim przemówieniu inwazję na Ukrainę z II wojną światową, zakpił z ofiar tego konfliktu. Podczas II wojny światowej zginęły miliony Ukra-

inów. Dziś w Ukrainie Rosjanie zachowują się jak niegdyś hitlerowscy żołnierze: bombardują miasta, mordują cywilów, gwałcą, rabują. Słowa Putina i bezczelność jego dyplomatów wywołują słuszne oburzenie i gniew.

Sam ambasador Andriejew powinien już dawno zostać wyproszony z Polski. Ale skoro rząd

Atak na dyplomatę, bez względu na to, jakiemu państwu służy, niestety ma swoje konsekwencje.

Trzeba się liczyć z rosyjskim odwetem

PiS zdecydował się go tolerować, to powinien mu zapewnić należytą ochronę, co wynika z prawa międzynarodowego.

Gdy PiS organizował miesięcznice smoleńskie, policja była w stanie odgrodzić spory kawał warszawskiego śródmieścia. Domu prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego przed demonstrantami chroniły dziesiątki radiowozów. Demonstrantów i towarzyszących im dziennikarzy godzinami trzymano w policyjnych kotłach.

Dlaczego podobnych kroków nie zrobiono na cmentarzu? Dlaczego nie rozdzielono zwolenników Putina i ludzi protestujących przeciwko rosyjskiej inwazji? Dlaczego nie zamknięto cmentarza? Władzom naszego kraju najwyraźniej zabrakło wyobraźni. Widać to już było kilka dni temu, gdy MSZ ograniczył się jedynie do „niezarekomendowania” rosyjskiej ambasady składania kwiatów na cmentarzu.

Atak na dyplomatę, bez względu na to, jakiemu państwu służy, niestety ma swoje konsekwencje. Trzeba się liczyć z rosyjskim odwetem. W 2005 r. polskich dyplomatów i ich rodziny w Moskwie napadali nieznani sprawcy. Część polskich dyplomatów Rosjanie wprawdzie już wydalili, ale trzeba natychmiast zapewnić bezpieczeństwo tym, którzy jeszcze w Rosji przebywają. Za błędy władzy mogą bowiem zapłacić konkretni ludzie.

Andriejew będzie zaś chodził po Warszawie w aurze męczennika. Z tym czas wreszcie skończyć. ●

Andrzej rysuje



Nowy Jork

Portret Marilyn Monroe na sprzedaż



FOT. TED SHAFFREY / AP

Obraz Andy'ego Warhola „Shot Sage Blue Marilyn” z 1964 r. został wystawiony na sprzedaż w salonie aukcyjnym Christie's w Nowym Jorku w niedzielę 8 maja 2022 r. Dom aukcyjny przewidywał, że obraz zostanie sprzedany za 200 milionów dolarów, stając się najdroższym dziełem sztuki z XX wieku sprzedanym na aukcji.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Mniej kredytów

40

PROC.

O tyle spadła liczba nowych kredytów w porównaniu rok do roku.

Także kredytów inwestycyjnych zaciąganych przez firmy jest mniej – ich spadek wynosi 20-30 proc.

► 12

Kultura



DYREKTOR ŁÓDZKIEGO MUZEUM O SWOJEJ DYMISJI

– Jeśli premier Gliński uważa, że Muzeum Sztuki ulegało naciskom światowych lewicowo-liberalnych ośrodków, to niewiele wie na ten temat – mówi Jarosław Suchan, odwołany dyrektor łódzkiego muzeum ► 16

**Pierwszy czarny Doktor Who
Podróż w czasie po „Sex Education”**

Ncuti Gatwa zastąpi Jodie Whittaker w tytułowej roli „Doktora Who”. Fani tego najdłużej emitowanego serialu SF przyzwyczaili się do zmian. Jak inaczej utrzymywać świeżość czegoś, co BBC emituje od 1963 r., jeśli nie poprzez wymianę obsady. W przyszłym roku „Doktor Who” będzie obchodził 60. urodziny, a świeczki na torcie zdmuchnie czternasty Doktor – Ncuti Gatwa.

29-latek znany ze świetnej roli w serialu Netflixa „Sex Education” jest pierwszym czarnym aktorem wcielającym się w słynnego podróżnika w czasie. Zastąpi Jodie Whittaker, która Doktorem była od 2018 r.

Ncuti Gatwa urodził się w 1992 r. w Rwandzie, skąd jego rodzina uciekła do Szkocji przed ludobójstwem w 1994 r., gdy ekstremiści Hutu dokonali masakry ludności Tutsi. Studiował aktorstwo w szkockim Royal Conservatoire w Glasgow, a po ukończeniu studiów w 2013 r. został członkiem zespołu teatru w Dundee.

Jednocześnie grywał mniejsze role w filmach i TV, ale przebił się w 2018 r. dzięki serialowi Netflixa „Sex Education”. Za rolę Erica Effionga, młodego geja wychowanego w bardzo religijnej nigeryjskiej ro-



FOT. ALBERTO PEZZALI / AP

dzinie, dostał aż trzy nominacje do telewizyjnej nagrody BAFTA oraz zdobył statuetkę BAFTA Scotland.

Poza występem w kolejnym sezonie „Doktora Who” Gatwa pojawi się też w wyczekiwany filmie „Barbie” w reżyserii Greta Gerwig, gdzie zagra u boku m.in. Margot Robbie, Ryana Goslinga i swojej koleżanki z planu „Sex Education” Emmy Mackey. ●

Radosław Czyż



Znikające miliardy na zdrowie

Narodowy Fundusz Zdrowia nie wykorzystał w ubiegłym roku ponad 10 mld zł i nie wiadomo, co z nimi robi.

Judyta Watoła

Z kolei na konta Funduszu Medycznego nie przelano z budżetu 4 mld zł, za które miano leczyć m.in. ciężko chore dzieci. To wszystko mimo zapowiedzi rządu Mateusza Morawieckiego o zwiększeniu puli na zdrowie. Niewykorzystane pieniądze na razie leżą na kontach państwowego Banku Gospodarstwa Krajowego. Do momentu, kiedy ich wydanie nie zostanie zapisane w planie NFZ czy Funduszu Medycznego, mogą być przez BGK swobodnie przesuwane – poprawiając bilans budżetowy państwa.

3,5 mld zł oszczędności, brak 4 mld

Wrodzona ślepota Lebera to rzadka choroba genetyczna prowadząca do zaniku siatkówki i – co za tym idzie – utraty wzroku. Kilka lat temu pojawił się na nią lek – luxturna. To terapia genowa. Może być stosowana tylko u chorych dzieci i dorosłych, u których zachowała się jeszcze wystarczająca liczba żywych komórek siatkówki. Pozwala uratować do 10 proc. wzroku.

– Zdrowym może się wydawać, że to niewiele. Dla osoby zagrożonej ślepotą uratowanie 10 proc. wzroku oznacza całkiem inne życie: możliwość ukończenia zwykłej szkoły, o wiele większe szanse na samodzielność i dobrą pracę – tłumaczy dr hab. Dariusz Dobrowolski, okulista ze Szpitala św. Barbary w Sosnowcu.

W sierpniu zeszłego roku Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji wydała pozytywną rekomendację dla refundacji luxturny. Lek znalazł się na liście terapii o wysokiej skuteczności klinicznej, które – jako drogie, ale zarazem efektywne – miały być refundowane z pieniędzy powołanego w 2020 r. Funduszu Medycznego. Powstał on m.in. po to, by finansować drogie leczenie dla dzieci z chorobami rzadkimi.

Terapia luxturną dla chorego ze ślepotą Lebera kosztuje obecnie blisko 400 tys. zł, w tej chwili na liście zakwalifikowanych do leczenia jest ok. 10 osób. Koszt 4 mln zł wydaje się niewielki, jeśli w perspektywie jest umożliwienie chorym normalnego funkcjonowania i niewypłacanie renty przez całe życie.

A jednak luxturna nie jest finansowana, podobnie jak inna – dziesięć razy tańsza – terapia pozwalająca uratować wzrok dzięki przeszczepowi komórek macierzystych nabłonka rogówki.

Dzieje się tak, mimo że zgodnie z ustawą Fundusz Medyczny ma dostawać co roku z budżetu 4 mld zł. Dotychczas otrzymał 200 mln zł w 2020 r. i 4 mld w 2021 r., ale wydał zaledwie 700 mln.

Według danych przesłanych nam przez Ministerstwo Zdrowia niecałe 100 mln zł kosztował ratunkowy dostęp do technologii lekowych, czyli refundacja leków spoza listy refundacyjnej chorym, których życie jest zagrożone. Na leczenie dzieci wydano 527 mln zł.

Na kontach Funduszu pozostało więc niewykorzystanych 3,5 mld zł. Część tych pieniędzy ma iść na inwestycje, ale na razie nie przeznaczono na nie nawet złotówki. „W sumie na ten cel może być przeznaczone 2 mld zł. Termin składania wniosków minął 31 marca 2022 r. Trwa ocena złożonych wniosków” – zapewnia nas resort zdrowia.

Fundusz powinien wydać w tym roku jednak nie 2 mld, ale kilka razy więcej, bo przecież ustawa gwarantuje, że na jego konta wpłyną kolejne 4 mld. Mimo że jest już maj, tych pieniędzy Fundusz Medyczny nie do-



• O tym, na co będzie wydana rekordowa nadwyżka, NFZ powinien informować więc już teraz, żeby poradnie i szpitale mogły to sobie zaplanować. Tymczasem milczy

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nadwyżki na podwyżki

• Część nadwyżki w budżecie NFZ będzie musiała zostać przeznaczona na narzucane szpitalom i przychodniom przez rząd podwyżki wynagrodzeń. Zgodnie z projektem nowelizacji ustawy o minimalnych wynagrodzeniach w ochronie zdrowia. Zakłada on, że od 1 lipca najniższa podstawowa pensja pielęgniarki po studiach magisterskich i specjalizacji wyniesie 7,3 tys. zł brutto, a lekarza – 8,2 tys. zł.

Farmaceuci i fizjoterapeuci, diagnosta laboratoryjny, pielęgniarki, położne i inni pracownicy medyczni z wyższym wykształceniem, ale bez specjalizacji lub bez

wykształcenia magisterskiego, ale ze specjalizacją mają mieć od lipca prawie 5,8 tys. zł podstawy, a bez studiów magisterskich i bez specjalizacji – po 5,3 tys. zł. Według szacunków Ministerstwa Zdrowia podwyżki te mają kosztować łącznie 7 mld zł.

Projekt został opublikowany sześć tygodni temu i zapadła cisza. Zdenerwowało to NSZZ „Solidarność”, która jako jedyny duży związek nie przystąpiła do ubiegłorocznego protestu organizacji związkowych i samorządów zawodowych zrzeszających medyków. – Przyszłoby, że zaczęliśmy w tej sprawie dociskać. Nie ma

na co czekać. Ta ustawa powinna zostać jak najszybciej uchwalona – powiedziała „Wyborczej” Maria Ochman, przewodnicząca sekretariatu ochrony zdrowia w „S”.

W efekcie Ministerstwo Zdrowia ogłosiło w poniedziałek na Twitterze, że wystąpiło z wnioskiem do premiera „o procedowanie projektu ustawy w trybie odrębnym”. Tryb odrębny oznacza w tym wypadku, że nie będzie czekania, aż projekt znajdzie się w porządku obrad cotygodniowego posiedzenia rządu. Żeby szybciej wysłać projekt do Sejmu, rząd przyjmie go w trybie obiegowym.

Przy okazji ministerstwo pochwaliło się na Twitterze, że podczas gdy średni wzrost wynagrodzeń w gospodarce w ubiegłym roku wyniósł według GUS 8,4 proc., to w ochronie zdrowia pensje wzrosły średnio o 17,2 proc. – i był to najwyższy wzrost we wszystkich badanych grupach zawodowych. A dzięki ustawie, na której szybkie przyjęcie naciska teraz „Solidarność”, najniższe wynagrodzenia w szpitalach i przychodniach wzrosną od lipca średnio aż o 30 proc. (w zależności od grupy zawodowej od 17 proc. do 41 proc.). ●

Judyta Watoła

stał. Rząd ani słowem nie tłumaczy, dlaczego tak się dzieje.

Historyczna oszczędność w NFZ

Ale pieniądze „znikają” nie tylko w Funduszu Medycznym. Dziwnie dzieje się także w NFZ.

W marcu sejmowa komisja zdrowia głosowała nad nowelizacją planu finansowego. Poprzednia jego wersja, przygotowana jeszcze w lipcu 2021 r., nie uwzględniała zmian w podatkach i składce zdrowotnej. Teraz więc budżet NFZ został powiększony o 7 mld zł. Przy okazji wiceprezes Funduszu Bernard Waśko powiedział, że fundusz zapasowy, na którym NFZ gromadzi pieniądze na czarną godzinę, ma w tej chwili 5,6 mld zł.

Tymczasem z opublikowanego także w marcu sprawozdania z działalności NFZ za IV kwartał 2021 r. wynika, że w ubiegłym

roku Fundusz wydał na leczenie 10,4 mld zł mniej, niż planował. To aż 9 proc. budżetu. Odkąd w 1999 r. wprowadzono w Polsce system ubezpieczeniowy i składkę na zdrowie, jeszcze nigdy to się nie zdarzyło.

Z tabeli umieszczonej w sprawozdaniu wynika, że na naszych wizytach u specjalistów NFZ „zaoszczędził” ponad 1 mld zł – 13 proc. tego, co planował. Na leczenie w szpitalach nie wydano ponad 5 mld zł (8 proc.), na rehabilitację – 622 mln (16 proc.).

Na opiece długoterminowej NFZ „zaoszczędził” 250 mln zł, czyli 10 proc. tego, co zamierzał wydać, a na programach lekowych, z których korzystają głównie chorzy na raka, zaoszczędził 29 proc.! Z planowanych wydatków na chemioterapię nie wydano 12 proc. To wszystko oznacza dziesiątki tysięcy pacjentów, którzy nie skorzystali z leczenia.

Te niewykorzystane 10,4 mld zł powinno trafić na fundusz zapasowy NFZ. Dlaczego jeszcze ich tam nie ma? „Kwota 10 mld zł opiera się na wstępnych danych za 2021 r.” – zaznacza w odpowiedzi na pytania „Wyborczej” Paweł Florek, wicedyrektor Biura Komunikacji Społecznej w NFZ. Dalej wyjaśnia, że o przeznaczeniu niewykorzystanych pieniędzy zdecyduje Rada NFZ po tym, gdy ostateczne sprawozdanie za cały 2021 r. zatwierdzi minister finansów. Na ogół dzieje się to dopiero w czerwcu.

Niewykorzystane pieniądze zawsze jednak zasilają fundusz zapasowy. NFZ będzie więc na nim miał ok. 16 mld zł. Znow najwięcej w historii. Jeśli chce je wydać, musi to planować już dziś, bo w drugiej połowie roku na ogół dużo mniej się leczymy. W lip-

cu i sierpniu są wakacje, a na grudzień i lekarze, i pacjenci też nie chcą planować za dużo leczenia.

O tym, na co będzie wydana rekordowa nadwyżka, NFZ powinien informować więc już teraz, żeby poradnie i szpitale mogły to sobie zaplanować. Tymczasem milczy.

20 mld zł długów szpitali

– Z nadwyżką w budżecie NFZ można zrobić dwie rzeczy – sfinansować za nią nowe terapie, za które Fundusz dotąd nie płacił, i podwyższyć stawki za leczenie już finansowane. Niestety, NFZ nie robi ani jednego, ani drugiego. Finansowanie nowych terapii zależy od ministerstwa, a to się nie spieszy. NFZ nie podwyższa też stawek za leczenie, by rekompensować inflację. Trudno bowiem za taką rekompensatę uznać zapowiadane podniesienie stawek o 4,5 proc., skoro inflacja sięgnie kilkunastu procent – mówi Adam Kozierkiewicz, ekspert ds. ekonomiki ochrony zdrowia.

Można przyjąć, że nadwyżka w budżecie NFZ to w dużej mierze skutek epidemii. Chorzy nie chcieli albo nie mogli pójść do specjalisty, nie skorzystali z badania, nie mieli diagnozy. Szpital ich nie przyjął, bo leczył COVID-19 – i przez to lekarz nie zakwalifikował pacjentów do leczenia w ramach tego czy innego programu.

Ale zgodnie z zapowiedziami ministra Adama Niedzielskiego teraz miało nastąpić odrabianie „długu zdrowotnego” z ostatnich dwóch lat. Zamiast odrabiania długu przez pacjentów jest robienie kolejnych długów przez szpitale. Sięgają już 20 mld zł. ●

Leki spoza listy

100

MLN ZŁ

• niemal tyle kosztował ratunkowy dostęp do technologii lekowych, czyli refundacja leków spoza listy refundacyjnej chorym, których życie jest zagrożone. Na leczenie dzieci wydano 527 mln zł

9 maja w Rosji

Putin na defiladzie: Stawil uprzedzający opór agresji

Władimir Putin 9 maja nie ogłosił ani wojny, ani zwycięstwa, ani mobilizacji. Powtórzył tylko, że Rosja, atakując Ukrainę, sama się broni. Świąteczna defilada na placu Czerwonym nie udała mu się jak nigdy wcześniej.

Wacław Radziwinowicz

– Rosja stawiała uprzedzający opór agresji – takim ekwilibrystycznym sformułowaniem pan Kremla wyjaśnił na placu Czerwonym charakter napadu na sąsiedni kraj.

Wrogiem nie Ukraina, lecz USA

Jako wroga Putin w swym wystąpieniu przed przemarszem 11 tys. żołnierzy wskazał nie Ukrainę, lecz Stany Zjednoczone, które pretendują do „wyjątkowej roli na świecie”, poniżają nawet „swoich satelitów” i narzucają ludzkości swoje porządki. – Ale my jesteśmy innym krajem. Rosja ma inny charakter, nigdy nie wyrzekniemy się miłości do ojczyzny, wiary i tradycyjnych wartości. A na Zachodzie te tysiącletnie wartości chcą zlikwidować. Taką moralną degradacją prowadzi do cynicznego fałszowania historii drugiej wojny światowej, rozpalaenia rusofobii – oskarżał Putin.

Moskwa, jak przypominał, w grudniu ubiegłego roku zaproponowała zachodnim partnerom układ o „wspólnym, niepodzielnym systemie bezpieczeństwa”. W rzeczywistości Rosjanie usiłowali nakłonić USA i NATO do czegoś w rodzaju kapitulacji – zagwarantowania, że Pakt nie tylko nie będzie się rozszerzał o nowe państwa, przede wszystkim Ukrainę, ale też wycofa się na pozycje, które zajmował przed 1997 r., a więc na przykład z Polski.

Waszyngton jednak nie chciał iść na układ i „przygotowywał kolejną operację karną w Donbasie i agresję na nasze historyczne ziemie, w tym Krym”. – W ten sposób systematycznie, bezpośrednio u naszych granic, szykowano zagrożenie, do którego nie mogliśmy dopuścić. Wszystko wskazywało na to, że konfrontacja z neonazistami, banderowcami, na których stawiały Stany Zjednoczone i ich młodszy wspólnicy, okaże się nieunikniona – tłumaczył Putin, czemu zdecydował się „stawić uprzedzający opór agresji”, czyli sam dokonał agresji na sąsiedni kraj.

Zwracając się do tych, którzy uczestniczą w krwawym podboju Ukrainy, pan Kremla zapewnił ich: – Walczycie za ojczyznę, za jej przyszłość, za to, by nikt nie zapomniał o lekcji dru-

giej wojny światowej. O to, by na świecie nie było miejsca dla katów, oprawców i nazistów.

Putin w złej formie, armia bez nowych broni

Putin z trybuny przed zasłoniętym dekoracjami Mauzoleum Lenina wbrew temu, co zapowiadało wielu obserwatorów, nie ogłosił żadnej ważnej decyzji. Nie wypowiedział oficjalnie wojny sąsiedniemu krajowi, z którym jego armia faktycznie wojuje. Nie wspomniał nawet o ewentualnej powszechnej mobilizacji dla uzupełnienia strat, jakie armia Rosji ponosi na froncie ukraińskim.

Tego jednak należało się spodziewać. 9 maja, najważniejsze święto w państwowym kalendarzu liturgicznym Rosji, jest dniem zwycięstwa i zakończenia wojny. Nie wypada w tym momencie ogłaszać kolejnej wojny ani przyznać się do choćby chwilowych porażek, przez które państwo musi powołać pod broń miliony obywateli. Kreml może to zrobić każdego innego dnia, ale nie w rocznicę kapitulacji III Rzeszy.

To, co armia i jej głównodowodzący pokazali teraz na świątecznej paradzie, raczej nie wskazuje na to, że Moskwa szybko doprowadzi do zwycięskiego końca aktualnej wojny.

Sam przywódca jest w coraz gorszej formie. Jego prawa ręka – wedle pogłosek na skutek choroby Parkinsona – coraz bardziej mu ciąży i bezwładnie zwisa.

Na trybunie honorowej nie pojawił się szef sztabu generalnego, generał armii Walerij Gierasimow, ponoć (choć Moskwa gorąco zaprzecza) raniony przez Ukraińców, kiedy dokonywał inspekcji swych walczących na froncie jednostek.

Tym razem siły zbrojne nie pokazały na placu Czerwonym żadnej nowej broni. Jak na ironię wśród 131 pojazdów bojowych, które przejechały przed trybuną honorową, pojawiły się „niemające odpowiedników w świecie czołgi piątego pokolenia” T-14 armata. Ta wunderwaffe Putina, którą pokazano światu pierwszy raz jeszcze na paradzie 9 maja 2015 r., okazała się czołgiem od parady, wciąż przechodzi próby i do walki się nie nadaje. Tym-



• **Władimir Putin na trybunie honorowej podczas wczorajszej parady na pl. Czerwonym**

FOT. MIKHAIL METZEL/AP

czasem żołnierze Rosji płoną i giną w przestarzałych, pamiętających czasy Breżniewa wozach bojowych.

Przelot samolotów nad Moskwą odwołany

Hitem tegorocznej parady miał być przelot nad Moskwą 77 statków powietrznych, a przede wszystkim zmodernizowanego „samolotu dnia Sądu Ostatecznego”, Il-80, z którego pokładu Putin miałby dowodzić wojną jądrową. Ta maszyna miała przypomnieć światu, że Rosja, choć jej nie idzie w Ukrainie, wciąż jest w stanie zmienić glob w „nuklearny popiół”.

Jednak także pogoda okazała się przeciwna Kremlowi. Warunki meteorologiczne nie pozwoliły na przeprowadzenie trudnego i ryzykownego powietrznego przemarszu nad stolicą.

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ”

PORADNIK GENEALOGICZNY

- Jak odtworzyć historię rodziny
- Od czego zacząć poszukiwania

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34122815

22

Poradnik

ODKRYJ HISTORIĘ SWOJEJ RODZINY

Od czego zacząć poszukiwania genealogiczne

W domu z pewnością znajdziesz sporo śladów po rodzicach i innych bliskich. Zwróć uwagę nie tylko na dokumenty (długie macie, dowody osobiste, świadectwa pracy, książeczkę ubezpieczeniową, urzędowe potwierdzenia spadku), ale też na książki i odciski dotykając, portretów i wakacji, listy, kroniki, pamiętniki i dziecięce narysunki.

Genealogia to wiedza o przeszłości, która pomaga nam odkryć nasze korzenie. To nie tylko historia, ale także sztuka poszukiwania i odkrywania. W tym poradniku znajdziesz wiele cennych wskazówek, które pomogą Ci odkryć historię swojej rodziny. Zaczynamy od podstaw, od tego, co jest najważniejsze: od nazwiska i daty urodzenia. To są dwie najważniejsze informacje, które musisz znać, aby rozpocząć poszukiwania. Następnie przejdziemy do bardziej zaawansowanych tematów, takich jak: jak znaleźć dokumenty, jak czytać i interpretować je, jak używać internetu i jak współpracować z innymi badaczami. Wszystko to w prosty i zrozumiały sposób, który pomoże Ci odkryć historię swojej rodziny.

Genealogia to sztuka poszukiwania i odkrywania. W tym poradniku znajdziesz wiele cennych wskazówek, które pomogą Ci odkryć historię swojej rodziny. Zaczynamy od podstaw, od tego, co jest najważniejsze: od nazwiska i daty urodzenia. To są dwie najważniejsze informacje, które musisz znać, aby rozpocząć poszukiwania. Następnie przejdziemy do bardziej zaawansowanych tematów, takich jak: jak znaleźć dokumenty, jak czytać i interpretować je, jak używać internetu i jak współpracować z innymi badaczami. Wszystko to w prosty i zrozumiały sposób, który pomoże Ci odkryć historię swojej rodziny.

23

Poradnik

ODKRYJ HISTORIĘ SWOJEJ RODZINY

Archiwa państwowe, księgi parafialne

W tym poradniku znajdziesz wiele cennych wskazówek, które pomogą Ci odkryć historię swojej rodziny. Zaczynamy od podstaw, od tego, co jest najważniejsze: od nazwiska i daty urodzenia. To są dwie najważniejsze informacje, które musisz znać, aby rozpocząć poszukiwania. Następnie przejdziemy do bardziej zaawansowanych tematów, takich jak: jak znaleźć dokumenty, jak czytać i interpretować je, jak używać internetu i jak współpracować z innymi badaczami. Wszystko to w prosty i zrozumiały sposób, który pomoże Ci odkryć historię swojej rodziny.

W tym poradniku znajdziesz wiele cennych wskazówek, które pomogą Ci odkryć historię swojej rodziny. Zaczynamy od podstaw, od tego, co jest najważniejsze: od nazwiska i daty urodzenia. To są dwie najważniejsze informacje, które musisz znać, aby rozpocząć poszukiwania. Następnie przejdziemy do bardziej zaawansowanych tematów, takich jak: jak znaleźć dokumenty, jak czytać i interpretować je, jak używać internetu i jak współpracować z innymi badaczami. Wszystko to w prosty i zrozumiały sposób, który pomoże Ci odkryć historię swojej rodziny.

9 maja w Rosji

iśmy



Odwolanie lotniczej części defilady oczywiście rodzi spekulacje, że wojna ukraińska do tego stopnia wyczerpała armię Rosji, że ta nie ma już czym latać nad placem Czerwonym. Świątecznego latania nad placem Czerwonym piloci i ich dowódcy lękają się od 1952 r., kiedy rozbiły się dwa ily, które przy złej pogodzie brały udział w defiladzie pierwszomajowej. Po tej tragedii syn Stalina, Wasilij, stracił stanowisko dowódcy sił powietrznych Moskiewskiego Okręgu Wojskowego.

Setki tysięcy Rosjan na ulicach Moskwy

Putina w świąteczny dzień nie zawiedli rodacy, masowo przylęczając się w całym kraju do prowojennego marszu „Nieśmiertelnego Pułku”. Na energicznie promowaną przez władzę akcją Rosjanie przychodzą z portretami bliskich, którzy brali udział w drugiej wojnie światowej.

W tym roku na marszach pojawiały się wizerunki poległych w ostatnich tygodniach w Ukrainie. W Kaliningradzie i Krasnojarsku tłum skandował: „Chwała bohaterom Donbasu!”, czyli tym, którzy walczą z Ukraińcami. W Moskwie co najmniej kilkuset tysięczny tłum mimo złej pogody wypełnił całą ulicę Twerską oraz place Maneżowy i Czerwony.

Kremlowska telewizja zachłystywała się zachwytnymi nad bojowym nastrojem ludu. – Nie potrzebujemy żadnej mobilizacji, wystarczy rzucić hasło, a cały naród w patriotycznym porywie od razu stanie w szeregu – entuzjazmował się Władymir Solowjow, frontman propagandy putinowskiej. ●

• **To, co armia i jej głównodowodzący pokazali na świątecznej paradzie, raczej nie wskazuje na to, że Moskwa szybko doprowadzi do zwycięskiego końca aktualnej wojny (wczorajsze święto na pl. Pałacowym w Sankt Petersburgu)**

FOT. DMITRI LOVETSKY/AP

Rosyjskie święto

Działania aktywistów, zbuntowanych dziennikarzy i hakerów

Wiktorja Bieliaszyn

Ostatni Dzień Zwycięstwa w Rosji? Niektórzy Rosjanie nie mają co do tego wątpliwości, inni nadal głęboko wierzą, że Putin „wyzwała rosyjskojęzyczną ludność Ukrainy”.

„Nie było możliwości pokojowego rozwiązania problemu Donbasu”, „Putin jest przekonany o osiągnięciu wszystkich celów w ramach specjalnej operacji”, „Ukraina bezceści pamięć o weteranach II wojny światowej”. Setki tekstów o podobnej wymowie pojawiały się wczoraj od samego rana na stronach rosyjskich mediów państwowych: gazety „Izwestia”, telewizji Russia Today i NTV, programu Vesti.ru czy portalu Rambler. Kremlowscy propagandyści dwoją się i troją, by utwierdzić Rosjan w przekonaniu, że wojna była jedynym możliwym sposobem „zaprowadzenia pokoju”, a zignorowane przez wszystkich światowych przywódców obchody Dnia Zwycięstwa to święto „prawdziwych ludzi”, jak napisała na Twitterze szefowa Russia Today Margarita Simonian.

Propaganda zbiera żniwo

Ich wysiłki przynoszą skutki. Niezależna redakcja Meduza opublikowała w poniedziałek reportaż, z którego wynika, że wśród przedstawicieli starszego pokolenia Rosjan nie brakuje osób bezkrytycznie wierzących kremlowskiej propagandzie. 82-letnia Swietłana w rozmowie z dziennikarzami przekonywała, że „Rosja po raz kolejny musi walczyć z faszyzmem, tym razem ukraińskim”.

– Niech każdy mówi w swoim własnym języku w Ukrainie: niektórzy po ukraińsku, niektórzy po rosyjsku. Naziści nie pozwalają! Zabraniają wszystkim mówić po rosyjsku. Rosjan nienawidzą. To faszyci, którzy otrzymują pieniądze za swoje antyrosyjskie nastroje. Ale Rosja zwycięży! – stwierdziła, powtarzając tym samym oficjalną narrację Kremla. Kobieta nie omieszczała jednak dodać, że jest przeciwna „jakiegokolwiek wojnie”.

Podobnie sytuacja wygląda z osobami młodszymi. Ci, którzy informacje czerpią z państwowych mediów, mówili Meduzie, że ich stosunek do 9 maja nie zmienił się w ostatnim czasie. Niewierzący państwowej propagandzie podkreślali z kolei, że są przekonani, iż „Rosja świętuje Dzień Zwycięstwa po raz ostatni”, a inwazja na Ukrainę „dyskredytuje zwycięstwo przodków nad faszyzmem”.

Kreml zabrania krytyki faszyzmu

Obchodom 9 maja towarzyszyły jednak także próby buntu. „Pokonaliśmy tamten faszyzm, pokonamy i ten”, „Faszyzm nie przejdzie”, „Mój dziadek nie walczył w imię czegoś takiego”, „Pokój” – takie hasła również można było zobaczyć w Rosji w trakcie obchodów Dnia Zwycięstwa. Ci, którzy wyszli z nimi na ulice, zostali zatrzymani. Ale nie tylko oni. Funkcjonariusze policji zatrzymali nawet osoby usiłujące puścić na rzecze w Jekaterynburgu białe łódki z pa-

pieru, upatrując w nich krytyki działań wojennych, czy mężczyznę z Irkucka, który wyszedł na ulicę z plakatem: „Za pokój”.

Niezależna organizacja OWD-info, która zajmuje się monitorowaniem aresztowań, poinformowała, że wielu Rosjanom wyrażającym w ten sposób sprzeciw wobec wojny w Ukrainie policja zarzuciła „dyskredytację działań rosyjskiej armii”.

Tak było m.in. w przypadku Władimira Saltiewskiego z Nowosybirsk, który zdecydował się wyrazić swój protest podczas przemarszu „Nieśmiertelnego Pułku”. To wydarzenie organizowane co roku we wszystkich miastach Rosji. Pierwotnie jego celem było upamiętnienie weteranów II wojny światowej – uczestnicy niosą ze sobą m.in. zdjęcia swoich krewnych walczących z hitlerowcami – ale zostało ono zawłaszczone przez władze w ostatnich latach do celów propagandowych.

Kremlowscy propagandyści dwoją się i troją, by utwierdzić Rosjan w przekonaniu, że wojna była jedynym możliwym sposobem „zaprowadzenia pokoju”

Saltiewski w pochodzie zdecydował się jednak nie wystąpić z portretem dziadka, ale z plakatem z hasłem: „Wstyd mi za was, wnuki. Walczyliśmy o pokój, a wy wybraliście wojnę”. Na początku policja zamierzała zarzucić mu „zrównanie działań władz ZSRR z nazistowskimi Niemcami”, historia skończy się jednak najprawdopodobniej na grzywnie.

Zatrzymania aktywistów

Do podobnych działań w Dniu Zwycięstwa namawiali wcześniej m.in. aktywiści Wiesny, niezależnej organizacji działającej na rzecz praw człowieka. W ostatni weekend policja wdarła się do petersburskiego mieszkania, w którym działacze przygotowali plakaty z antywojennymi hasłami. Niezależna redakcja SOTA relacjonowała, powołując się na obecnego na miejscu działacza, że ok. dwudziestu aktywistów zostało „brutalnie dociśniętych mordami do podłogi”. Do podobnych incydentów oraz rewizji w domach aktywistów doszło też w innych miastach, m.in. w Nowogrodzie Wielkim i Moskwie. Tym samym uniemożliwiono im organizację antywojennego pochodu, który miał przebiegać pod hasłem „Oni nie o to walczyli”.

Pomysłodawcy „Nieśmiertelnego Pułku”, popularnego w Rosji wydarzenia, oświadczyli pod koniec kwietnia, że ze względu na toczącą się w Ukrainie wojnę proszą, by nie kojarzono ich więcej z inicjatywą. Opublikowane na oficjalnej stronie inicjatywy oświadczenie było reakcją na

propozycję władz, by podczas tego-rocznych obchodów uczestnicy nieśli portrety nie tylko weteranów II wojny światowej, ale też rosyjskich żołnierzy poległych podczas „specjalnej operacji wojennej” w Ukrainie. Gubernator obwodu woroneskiego podkreślił, że stosownie będzie „upamiętnienie w ten sposób dzisiejszych bohaterów, poległych w walce z nazizmem na Ukrainie”.

„Niestety, wiele ostatnich zjawisk i wydarzeń zmienia pierwotne znaczenie »Nieśmiertelnego Pułku«. Oczywiście każda osoba może sama decydować, jak dokładnie pamiętać 9 maja. Ale nie uważamy za możliwe, by utożsamiać się z tym, co się dzieje dzisiaj w pochodach na ulicy” – napisali twórcy wydarzenia. Siergiej Łapienkow, jeden z głównych inicjatorów akcji, w pierwszych dniach wojny stwierdził, że „nasi dziadkowie przekłębiliby nas za to, co się wydarzyło”.

Dziennikarze ramie w ramie z hakerami

Propagandowe obchody Dnia Zwycięstwa starali się też zakłócić dziennikarze portalu Lenta.ru, redakcji rozgromionej przed laty przez władze. Na głównej stronie redakcji pojawiło się w poniedziałek przed południem ok. 20 materiałów o zbrodniach wojennych Władimira Putina, on sam zaś został nazwany w jednym z nich „żałosnym dyktatorem i paranoikiem”. „Wojną najłatwiej jest zatuszować kryzys gospodarczy. Putin musi odejść. Rozpętał bezsensowną wojnę i prowadzi kraj w przepaść” – głosił nagłówek jednego z tekstów. W innych działach, m.in. sportowym, dostępne były teksty, które zatytułowano: „Władimir Putin skłamał co do planów Rosji w Ukrainie”, „Ludobójstwo w pokojowym Mariupolu zorganizowane przez rosyjską armię i terrorystę Putina”. Na początku eksperci i niezależne media uznali, że za antywojenne treści odpowiadają hakerzy. Okazało się jednak, że teksty opublikowali dziennikarze.

– Mamy gigantyczną liczbę czytelników, to była jedyna właściwa rzecz, którą mogliśmy zrobić, musimy się zjednoczyć przeciwko wojnie – powiedział Jegor Poliakow i Aleksandra Mirosznikowa w wywiadzie dla niezależnej redakcji The Insider.

Z ich wyjaśnień wynika, że decyzja o publikacji antywojennych materiałów nie była uzgodniona z władzami redakcji, a Poliakow i Mirosznikowa ponieśli już konsekwencje w postaci zwolnienia z pracy. Nie wiadomo jeszcze, jak ich działania potraktują władze i jakie postawią im zarzuty. Za „rozpowszechnianie fake newsów” grozi im do 15 lat pozbawienia wolności.

Z kolei hakerzy sprawili, że w nocy z niedzieli na poniedziałek oraz wczesnym rankiem użytkownicy telewizorów Smart, korzystający z usług państwowych operatorów MTC, NTV i Rostelekom, zauważyli, że w opisach wszystkich kanałów telewizyjnych figuruje ta sama fraza: „Na waszych rękach jest krew tysięcy Ukraińców i setek ich zabitych dzieci. TV i władze kłamia. Nie dla wojny”. ●

Kupując ropę i gaz z Rosji, nadal zasilamy kasę Putina

– Doceniam, że UE rozważa wprowadzenie embarga na ropę. Ale powinniśmy odciąć się także od gazu – mówi były sekretarz generalny NATO.

ROZMOWA Z
ANDERSEM FOGHEM RASMUSSENM
byłym sekretarzem generalnym NATO

TOMASZ BIELECKI: Rosjanie co jakiś czas wysyłają straszące sygnały o broni nuklearnej. To tylko propaganda czy rośnie ryzyko użycia tej broni – strategicznej albo co najmniej taktycznej na polu bitwy w Ukrainie?

ANDERS FOGH RASMUSSEN: Nie uważam, by to były prawdziwe ostrzeżenia, więc nie przejmuję się tymi groźbami. To tylko próba zastraszenia krajów NATO, by ograniczyły dostawy broni dla Ukrainy. Putin wie, że jeśli użyłby broni masowego rażenia, czy to taktycznej broni jądrowej, czy też broni biologicznej lub chemicznej, to nasza odpowiedź będzie zdecydowana. Putin by przegrał. Gdybyśmy ulegali takim pogrożkom Moskwy, zostawilibyśmy brutalnemu tyranowi ostatnie słowo we wszczynanych przez niego konfliktach.

Jak zareagowałoby NATO na taki atak?

– Prezydent Joe Biden dobrze wyraził się po ostatnim szczycie NATO, kiedy powiedział, że jeśli Putin użyje broni jądrowej, chemicznej lub biologicznej, to przekroczy czerwoną linię i nastąpi nasza reakcja. Ale Biden nie precyzował, jaki byłby rodzaj reakcji. Myślę, że takie niedoprecyzowanie to część polityki wiarygodnego odstraszenia.

Dotychczas zbyt wielu przywódców NATO zbyt chętnie wykluczało taką czy inną reakcję na działania Rosji w Ukrainie. Nigdy nie powinniśmy tego robić. Jeśli chcemy, aby nasze środki odstraszenia były wiarygodne, przeciwnik powinien być utrzymywany w niepewności co do przebiegu czerwonej linii. A także powinien też być niepewny, jak i kiedy zareagujemy, jeśli ją przekroczy. Inne wypowiedzi służą jedynie poszerzeniu pola manewru Putina.

Czy zatem błędem Bidena i NATO było deklarowanie, że nie wyśle ani jednego żołnierza do Ukrainy? Czy w ramach „strategicznej niejednoznaczności” należało tę kwestię pozostawić otwartą?

– Szczerze mówiąc, tak. Ale potem Biden postąpił słusznie, gdy po ostatnim szczycie NATO już nie precyzował, jak dokładnie będzie reagować Sojusz. Tak powinno robić się wcześniej, ale myślę, że NATO już wyciągnęło z tego wnioski. Bo kiedy wyklucza się wysyłanie wojsk, kiedy wyklucza się strefę zakazu lotów, kiedy wyklucza się inne działania, to wskazuje się Putinowi, co może zrobić bez żadnej naszej reakcji.

Zgadzam się, że podjęcie się utrzymania strefy zakazu lotów w Ukrainie nie byłoby teraz mądrą decyzją, bo doprowadziłoby do bezpośredniej konfrontacji sił Rosji i NATO. Ale nigdy nie należy takich spraw wykluczać publicznie! A ponadto może przecież kiedyś zaistnieć sytuacja – obecnie to tylko moje spekulacje – że zechcemy rozważyć ustanowienie strefy zakazu lotów przykładowo nad zachodnią Ukrainą, gdzie nie będzie rosyjskich wojsk.

Kraje NATO sporo czasu poświęcają na debatę o rodzajach broni dostarczanej do



• Bruksela, 26 września 2014 r. Anders Fogh Rasmussen przed pożegnalnym wystąpieniem w kwatrze głównej NATO FOT. AP

Ukrainy. Jak nie eskalować. Jak nie prowokować. Jak pan widzi granicę między tym, co może być dostarczone, a co nie?

– Nie powinniśmy brać pod uwagę tego, co Putin odczułby jako prowokację. To Putin jest agresorem, który zaatakował pokojowo nastawionego sąsiada. A zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych każde państwo ma prawo do samoobrony. Rząd takiego państwa ma również prawo zwrócić się o pomoc do innych krajów w tej samoobronie. A zatem, o cokolwiek proszą Ukraińcy, powinniśmy to dostarczyć, jeśli tylko jesteśmy w stanie. Zresztą tak właśnie teraz się dzieje. Myślę, że właśnie taka kombinacja dostarczenia ciężkiej, zaawansowanej broni zachodniej oraz determinacji odważnych Ukraińców przysparza siłom rosyjskim tak wielu problemów.

A jednak Sojusz bywa oskarżany o prowokowanie Moskwy. Papież w niedawnym wywiadzie powiedział o „ujadaniu u bram Rosji”.

– Absolutnie się z tym nie zgadzam. W żadnym momencie nie groziliśmy i nie zagrażaliśmy Rosji. Nie prowokowaliśmy Rosji rozszerzeniem NATO. Nie prowadziliśmy kampanii na rzecz rozszerzenia NATO, a tylko przyjmowaliśmy wnioski od byłych państw komunistycznych, które chciały ochrony przed Rosją. Może więc Rosjanie powinni się zastanowić, dlaczego wszyscy sąsiedzi szukają w NATO gwarancji bezpieczeństwa?

W trakcie całego tego procesu wielokrotnie rozmawialiśmy z Rosją. Rosjanie mieli duże stałe przedstawicielstwo w kwaterze głównej NATO, bo chcieliśmy im powiedzieć: „To, co robimy, nie jest skierowane przeciwko wam. Możecie na własne oczy obserwować, co się dzieje”. Mieliśmy Radę NATO-Rosja, która spotykała się raz w miesiącu i tworzyła ramy dla współpracy, konsultacji i przygotowywania wspólnych działań. Znów chodziło o to, aby powiedzieć Rosji: „To nie jest skierowane przeciwko wam, możecie uczestniczyć w tym tygodniu, stworzyliśmy, że tak powiem, nową europejską architekturę bezpieczeństwa”.

W 2010 roku na szczycie NATO w Lizbonie postanowiliśmy, że będziemy rozwijać

strategiczne partnerstwo między NATO a Rosją. Myślę, że papież powinien zapoznać się z historią.

Czy nie było błędem NATO, że zadeklarowało otwarte drzwi dla Ukrainy, ale zarazem nie oferowało ścieżki do członkostwa. A zatem stało się jasne, że Ukraina nie zostanie przyjęta do Sojuszu?

– Tak, patrząc z perspektywy czasu, popełniliśmy wiele błędów. Jednym z nich było nieprzyznanie Ukrainie i Gruzji naszego „Planu działań na rzecz członkostwa” (MAP) na szczycie NATO w Bukareszcie w 2008 roku. Ja byłem za, Stany Zjednoczone były za, Wielka Brytania była za, ale Niemcy i Francja były przeciw, więc nie mogliśmy tego uzgodnić. Tym samym wysłaliśmy Putinowi zły sygnał. A kilka miesięcy po szczycie w Bukareszcie w 2008 r. to on wysłał swój jasny sygnał – zaatakował Gruzję. Ponadto stanowczo za słabo zareagowaliśmy, gdy Rosja w 2014 roku zajęła Krym i zaczęła okupację Donbasu.

Ukraińcy mówią o „gwarancjach bezpieczeństwa” jako jednym z elementów przyszłego zawieszenia broni, czy nawet porozumienia pokojowego. Czy taki system gwarancji jest realny?

– Prezydent Zelenski już powiedział, że Ukraina byłaby skłonna zrezygnować z ubiegania się o przyjęcie do NATO, ale w zamian potrzebowałaby gwarancji bezpieczeństwa od społeczności międzynarodowej

Prezydent Zelenski już powiedział, że Ukraina byłaby skłonna zrezygnować z ubiegania się o przyjęcie do NATO, ale w zamian potrzebowałaby gwarancji bezpieczeństwa od społeczności międzynarodowej

nia się o przyjęcie do NATO, ale w zamian potrzebowałaby gwarancji bezpieczeństwa od społeczności międzynarodowej. Mogłyby to być Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Turcja, które na zasadzie dwustronnej udzielałyby takich gwarancji Ukrainie. Dodałbym do tego zagwarantowane prawo do silnej armii, aby zapobiec przyszłym atakom ze strony Rosji. W okresie przejściowym to mogłoby również wymagać rozmieszczenia sił pokojowych we wschodniej Ukrainie w celu monitorowania porozumienia pokojowego z silnym mandatem do kontrolowania międzynarodowej granicy między Ukrainą a Rosją. Zelenski nawet wskazał, że kwestia Krymu mogłaby zostać odłożona na 15 lat.

Sądzę, że Zelenski naprawdę potwierdził, że stara się znaleźć rozwiązanie tego konfliktu. Ale Putin na razie nie chce politycznego i dyplomatycznego rozwiązania. Dlatego niezwykle ważne jest kontynuowanie dostaw ciężkiej i zaawansowanej broni dla Ukraińców, aby mogli walczyć z najeźdźcami, co – mam nadzieję – przyniesie Rosjanom wyraźną porażkę.

Broń, ale i jak najcięższe sankcje?

– Tak, ponieważ musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby szybko zakończyć wojnę. A możemy mocno przyczynić się do szybkiego zakończenia tego konfliktu, zaprzestając finansowania maszyny wojennej Putina. Natomiast kupując ropę i gaz z Rosji, nadal zasilamy kasę Putina. Doceniam, że UE rozważa teraz podjęcie pierwszego kroku – wprowadzenie embarga na ropę. Ale powinniśmy odciąć się także od gazu. ●

Rozmawiał Tomasz Bielecki
Bruksela, Deutsche Welle

*wywiad dla grupy korespondentów w ramach Global Europe Seminar w Salzburgu

Anders Fogh Rasmussen był sekretarzem generalnym NATO w latach 2009-14. Wcześniej przez osiem lat stał na czele rządu Danii. Obecnie kieruje firmą doradczą Rasmussen Global

Hongkong ma nowego człowieka u steru

Ambitny policjant John Lee wykona każde zlecenie chińskiej centrali, pod jego rządami Hongkong przestanie jej sprawiać kłopoty. Właśnie został wybrany na szefa władz autonomii, zamierza zdławić wszelki opór społeczeństwa obywatelskiego.

Maria Kruczkowska

John Lee, jedyny kandydat na szefa władz autonomicznych Hongkongu, uzyskał w niedzielę głosy 1416 członków kolegium elektorckiego, złożonego z osobistości lojalnych wobec Chin. Wygrał prawie jednogłośnie – przeciw było ośmiu elektorów.

Przed inauguracją policja rozpendziła niedużą grupę protestujących. – Wierzmy, że reprezentujemy dużą część opinii mieszkańców, którzy pozostają przeciwni wyborom w chińskim stylu, z jednym kandydatem – powiedział agencji informacyjnej Reuters obecny na demonstracji Chan Po-ying z Ligi Socjalnych Demokratów (trzymał baner z żądaniem pełnej demokracji).

Na konferencji prasowej Lee dużo mówił o przywróceniu metropolii statusu globalnej stolicy finansów, czego warunkiem ma być utrzymanie stabilności. Zapytany przez dziennikarzy, czy myśli o pojednaniu z opozycją i wypuszczeniu więźniów politycznych, nie odpowiedział.

W chińskich mediach euforia

John Lee, były nr 2 autonomii i szef wydziału bezpieczeństwa, uważany za architekta rozbicia kwitnącego społeczeństwa obywatelskiego, ma ułatwione zadanie. Przejmuje bowiem miasto ujarzmione po stłumieniu ulicznych protestów z 2019 r. – zauważa dziennik „The New York Times”.

Pekin oczekuje, że Lee będzie pilnował w metropolii jego interesów. Wybór fetują chińskie media.

„Lee sprawi, że zarówno miejscowi, jak i zagraniczni inwesto-

rzy odprężą się, poczują się swobodnie i odzyskają zaufanie” – pisze jeden z prochińskich tytułów z Hongkongu. Z kolei zdaniem „China Daily”, państwowej gazety, która poświęciła Lee cykl pochwalnych artykułów, „pozwoli on miastu na nowy start ku nowej i jeszcze większej chwale”.

Ambitny policjant pnie się w górę

John Lee jako 19-latek zaczął pracować w policji. Posłuszny i pilny, pisał się coraz wyżej po szczeblach władzy.

W niedzielę, kłaniając się i machając w stronę swoich wyborców, oznajmił, że nastał najwyższy czas, by – po przywróceniu porządku i pokonaniu chaosu – „Hongkong otworzył nowy rozdział pod znakiem rozwoju, zmierzając do większej pomyślności ogółu”.

Za swoje zadanie Lee uważa otwarcie nowego rozdziału w dziejach miasta, zjednoczenie go i utrzymanie międzynarodowego statusu metropolii jako otwartego i konkurencyjnego hubu finansowego łączącego Chiny ze światem.

„Z Lee Pekin może spać spokojnie” – mówią o nim ci, którzy go znają.

Ambitny policjant wykona każde zlecenie chińskiej centrali. Pod jego rządami Hongkong przestanie jej sprawiać kłopoty jak przez pierwsze 23 lata od ustąpienia Brytyjczyków i zjednoczenia z Chinami w 1997 r.

Mniej pewne jest za to, czy uda mu się przywrócić Hongkongowi blask utracony w wyniku zawirowań politycznych i wydarzeń z ostatnich lat.



• John Lee uzyskał w niedzielę głosy 1416 członków kolegium elektorckiego. Przeciw było zaledwie ośmiu elektorów FOT.AP / AP

Hongkong przegrał walkę o autonomię

Wybór Lee, jedynego kandydata, w dodatku wyznaczonego przez Chiny, to gorzka puenta walki całego pokolenia o spełnienie obiecanych przez Pekin w chwili przejmowania Hongkongu od Wielkiej Brytanii wyborów powszechnych na szefa autonomii.

Ustawa zasadnicza (minikonstytucja autonomii) mówiła mgliscie, że może się to stać już w 2017 r. Gdy ten termin i następny minął, mieszkańcy zaczęli się niecierpliwić. Oliwy do ognia dołala szefowa autonomii Carrie Lam, gdy w lipcu 2019 r. próbowała przeforować ustawę o ekstradycji do Chin. Wtedy tłumy wyszły na ulice, paraliżując miasto.

Tę walkę ostatecznie przegrało. Po miesiącach coraz gwałtowniejszych rozruchów Pekin wprowadził drakońską ustawę o bezpieczeństwie narodowym Hongkongu. Od tej pory wyposażona w nowe uprawnienia policja mogła aresztować każdego za bliżej niedefiniowaną „działalność wywrotową, terroryzm, separatyzm i znowę z siłami zewnętrznymi”.

Był to początek końca autonomii obiecaniej Brytyjczykom przez Deng Xiaopinga podczas przejmowania ich kolonii pod hasłem „Jeden kraj,

Wybór Lee, jedynego kandydata, w dodatku wyznaczonego przez Chiny, to gorzka puenta walki całego pokolenia o spełnienie obiecanych przez Pekin w chwili przejmowania Hongkongu od Wielkiej Brytanii wyborów powszechnych na szefa autonomii

dwa systemy”. Za kratki powędrowały setki aktywistów, dziennikarzy i polityków, zamknięto opozycyjne gazety, w końcu zaś demokraci wycofali się z Rady Legislacyjnej pełniącej funkcję parlamentu.

Świat odpowiedział sankcjami – zbyt słabymi, by mogły uratować autonomię metropolii.

W globalnej stolicy finansów z 7,4 mln obywateli zapanował strach, dziesiątki tysięcy niepokojonych z nowymi porządkami

mieszkańców wyjechały do Wielkiej Brytanii i Kanady.

Zaczął się też exodus ekspatów, dla których Hongkong był wcześniej magnesem. „To było miasto wielkich szans. Każdy o nim marzył” – mówi dziennikowi „The New York Times” doradczyni personalna Eugenia Bae.

Cudzoziemcy robili kariery w setkach międzynarodowych banków, stacji telewizyjnych i korporacji z siedzibą w Hongkongu. Pachnący Port, Xianggang, jak go nazywają Chińczycy, kusił urokami życia – od restauracji po wycieczki na plażę i kasyna pobliskiego Makau.

Wszystko to straciło powab, gdy Chiny przykręciły śrubę, a ostatnio także za sprawą epidemii koronawirusa. Odnotowano milion infekcji, w szpitalach zabrakło miejsc. Hongkong zamknął się na świat, również na Chiny. Pozamykano bary i sale fitness, szkoły przeszły na nauczanie zdalne, ulice opustoszały...

Przeprowadzi czystki i zdławi wszelki opór

Nowy szef autonomii zapowiedział zwiększenie oferty tanich mieszkań. To dobre posunięcie w metropolii, w której cena metra kwadratowego należy do najwyższych w świecie.

Lee wie też, komu zawdzięcza posadę, i już teraz zapowiada czystkę w szeregach służb Hongkongu. Uwagę Pekinu zwrócił bowiem fakt, że w 2019 r. niektórzy urzędnicy zaangażowali się w protesty. Teraz, obejmując urząd, będą składać przysięgę lojalności – tak jak czynią to urzędnicy w Chinach kontynentalnych.

W spacyfikowanym Hongkongu Lee zamierza wpisać do ustawy zasadniczej artykuł 23, który zakazuje działalności wywrotowej, secesji, buntu i zdrady Chin Ludowych. Poprzednia próba jej przepchnięcia w 2003 r. wyprowadziła na ulice pół miliona ludzi i zmusiła ówczesne władze do odłożenia projektu na półkę. ●

Nowy numer

Małe grzeszki wielkiego Sebalda

Kurs nadziei dla rozpaczonych

DWUMIESIĘCZNIK KWIECIEŃ 2022

wyborcza

KSIAZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Olga Tokarczuk

Premiera nowej powieści

Jak celebryci orzą na ugorze

Których Rosjan nie warto wylewać z kąpielą

Sponsorka numeru

Kora

Wszystkie nowości wiosny. Które zachwycają, a które nie?

➔ Tylko u nas! „Empuzjon”
Premierowy fragment pierwszej od
8 lat powieści Olgi Tokarczuk

➔ Wysyp premier na wiosnę.
148 stron do czytania!

➔ Opowieść o ekscentrycznej
Dodie Smith, autorce
„101 dalmatyńczyków”

Więcej na:
Wyborcza.pl/ksiazki

Zamów do domu z darmową
dostawą: Prenumerata24.pl

Kompromitacja prokuratury ws. szczucia na Ukraińców

Kuriozalna sytuacja: prokurator z Warszawy tak rozpędziła się z umarzaniem spraw dotyczących szczucia na Ukraińców, że zrobiła to nawet z wątkami, które wcześniej zakończyły się ustaleniem sprawców i prawomocnym skazaniem.

Ewa Ivanova

„Wyborcza” dotarła do dokumentów w tej sprawie. Pod umorzeniem podpisała się Agnieszka Filipczak z Prokuratury Rejonowej Warszawa Praga-Południe. To doświadczona prokurator z wydziału śledczego, wcześniej cieszyła się świetną opinią, popierała przed sądami odważne poszlakowe akty oskarżenia.

Ostatnio trafiło do niej kilka spraw dotyczących przestępstw z nienawiści po prokuratorze Macieju Młynarczyku. I Filipczak umarza jedną po drugiej.

Młynarczyk pracuje w Prokuraturze Rejonowej Warszawa Praga-Północ i wyspecjalizował się w ściganiu przestępstw z nienawiści. Jak pisała „Wyborcza”, stał się solą w oku środowisk radykalnych i narodowych. A mimo skuteczności kierownictwo najpierw odebrało mu kilka newralgicznych spraw, a potem wszystkie tego rodzaju śledztwa. Część z nich trafiła m.in. do Prokuratury Rejonowej Warszawa Praga-Południe.

„Bandersuke na stryczek”

Jak prokurator Filipczak umorzyła sprawy, w których zapadły prawomocne wyroki?

W czerwcu 2019 r. Anna Dąbrowska z lubelskiej fundacji Homo Faber zorganizowała w Przemysłu happening „Nie będzie innego”. Na rynku ustawiono okrągły stolik, przy którym usiadł ówczesny lider mniejszości ukraińskiej Piotr Tyma i zapraszał każdego, kto chciałby porozmawiać na temat relacji polsko-ukraińskich.

Przyszl także nacjonaliści. Tyma podawał im rękę, tłumaczył. Dłuższą rozmowę przeprowadził m.in. z partnerką mężczyzny skazanego za atak na procesję greckokatolicką w Przemysłu w 2016 r.

W sieci ruszyła lawina hejtu wobec polsko-ukraińskiego pojednania. „Precz z ludobójcami sukami banderowskimi z Polski si ciera” (pisownia oryginalna) – pisał na Facebooku użytkownik ukrywający się pod pseudonimem „Edward Nowak”. Tymę określił tak: „to banderowskie sicie rwo”. Ten sam użytkownik w październiku 2019 r. pod artykułem ukraińskiego dziennikarza i aktywisty Igora Isajewa znieważał i groził: „Bandersuke na stryczek”.

Inny użytkownik Facebooka „Zbyszku Aleces” ostrzegał w kontekście happeningu w Przemysłu: „Krótki dialog chętnie z nienawistnym banderowcem podejmie mój kij bejsbolowy”. A „Remigiusz Górski” (jak się okazało, podał prawdziwe imię i nazwisko), określał Tymę i Dąbrowską „ścierwami”, „ścierami”. Pisał: „Z takimi ścierwami jak Tyma się nie rozmawia. Z takimi jak Dąbrowska też nie. Jedna ściera warta drugiej...”.

Sprawę hejterów prowadził Młynarczyk i ustalił, kim są. Mężczyznom postawiono zarzuty znieważania, nawoływania do nienawiści na tle narodowościowym i nawoływania do przemocy. Postępowanie prokurato-



• Antyukraińskie napisy w tunelu przy ul. Rakowickiej w Krakowie, 5 maja 2017 r. FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W uzasadnieniu prokurator Filipczak przekonywała, że internetowe ID użytkowników i dane przekazane przez operatorów telekomunikacyjnych nie doprowadziły do ustalenia tożsamości użytkowników. Problem w tym, że ich tożsamość została ustalona

rowi jednak odebrano i przekazano do Prokuratury Rejonowej Warszawa Praga-Południe. I tu 31 marca prokurator Filipczak umorzyła sprawę dotyczącą wszystkich wypowiedzi: „Edwarda Nowaka”, „Zbyszku Alecesa” i „Remigiusza Górskiego”.

Prokurator Filipczak: Bo sprawcy są nieustaleni

Użytkownik „Edward Nowak” to – według ustaleń śledczych – Aleksander K. Upiekło mu się, bo prokurator Filipczak uznała, że jego wpisy nie wypełniają znamion czynów zabronionych i nie ma interesu społecznego w objęciu ich ściganiem z urzędu.

Podejrzany w trakcie wyjaśnień przekonywał np., że określenie „stryczek” oznacza, iż za swoje czyny dana osoba powinna spodziewać się procesu zakończzonego wyrokiem i że jest to postulat przywrócenia w Polsce kary śmierci. Prokurator dała mu wiarę i uznała, że stwierdzenie „Bandersuke na stryczek” użyte wobec Isajewa nie odnosi się do narodowości, więc nie jest pochwalaniem użycia przemocy wobec osoby innej narodowości. Należy je bowiem rozpatrywać w kategoriach „stanowisk w sporze o narrację historyczną w relacjach polsko-ukraińskich”.

Filipczak uznała również, że „Edward Nowak” nie nawoływał do nienawiści wobec innych osób, lecz wyrażał silne emocje i dezaprobatę wobec „banderowców” i członków UPA, z którymi – w przekonaniu podejrzanego – mieli sympatyzować pokrzywdzeni.

Prokurator w tym przypadku nie zwerifikowała linii obrony Aleksandra K. Gdyby sprawdziła tylko w internecie, wiedziałaby, że np. Isajew co roku w imieniu Ukraińców przeprosza Polaków za zbrodnię wołyńską. Nie można zatem uznać go za piewicę Banderę czy UPA.

Śledcza tak się rozpędziła, że podpisała umorzenie także wątków dotyczących użytkowników „Zbyszku Alces” i „Remigiusz Górski”. W obu przypadkach z powodu „niewykrycia sprawcy” i z uwagi na „brak innych rzeczowych źródeł dowodowych”. W uzasadnieniu prokurator Filipczak przekonywała, że internetowe ID użytkowników i dane przekazane przez operatorów telekomunikacyjnych nie doprowadziły do ustalenia tożsamości użytkowników.

Problem w tym, że ich tożsamość, jak wspomnieliśmy, została ustalona. Mało tego – ich sprawy zostały wyłączone jeszcze przez prokuratora Młynarczyka do odrębnego postępowania, co skończyło się skierowaniem aktów oskarżenia do Sądu Rejonowego w Łęborku i Sądu Okręgowego w Zamościu.

Sprawcy skazani, apelacje odrzucone

Sąd w Łęborku 29 kwietnia 2021 r. skazał Remigiusza Górskiego na karę czterech miesięcy pozbawienia wolności zawieszoną na czas próby na dwa lata. Zobowiązał go także do przeproszenia Anny Dąbrowskiej i Piotra Tymy. Wyrok podano do publicznej wiadomości przez zamieszczenie na stronie internetowej sądu.

„Zgodnie z wyrokiem sądu przepraszam panią Annę Dąbrowską oraz pana Piotra Tymę za treść wpisów zamieszczonych w dn. 12.06.2019 r. związanych z ich przynależnością narodową. Przepraszam również pana Mirona Sycza za treść wpisu z dn. 28.09.2019 r.

związanego z jego przynależnością narodową” – napisał też, wykonując wyrok, Remigiusz Górski na swoim Facebooku.

Z kolei Sąd Okręgowy w Zamościu 5 lutego 2021 r. uznał, że użytkownik „Zbyszku Alces”, czyli Zbigniew Łoś, dopuścił się zarzucanych mu przez prokuratora czynów i warunkowo umorzył postępowanie na okres trzech lat próby. Zasądził także 1 tys. zł zadośćuczynienia na rzecz Tymy.

Obaj sprawcy wnieśli apelacje, ale sądy odwoławcze utrzymały wyroki w mocy.

Poprosiliśmy kilku prokuratorów o komentarz w sprawie kuriozalnego umorzenia wątków sprawców, które zostały prawomocnie osądzone. – To rzecz niespotykana. Kompromitacja zawodowa prokuratora – słyszemy od jednego ze śledczych. Inny mówi, że pod rządami Zbigniewa Ziobry prokuratura jest wyjątkowo łaskawa dla hejterów i nacjonalistów.

Kolejny podkreśla: – Jeśli jakiś prokurator, taki jak Młynarczyk, chce ścigać sprawców, to Bąkiewicz [Robert, prezes Stowarzyszenia Marsz Niepodległości] urządzi konferencję prasową, żądając jego odsunięcia. I Młynarczyk traci wszystkie sprawy, w których skutecznie oskarżał.

Zwróciliśmy się z pytaniami w sprawie umorzenia do rzeczniczki prasowej Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. Czekamy na odpowiedź. Próbowaliśmy także uzyskać komentarz Łukasza Osińskiego, szefa Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, ale jego sekretariat przekazał, że jest nieobecny. Niedawno Osiński po publikacjach „Wyborczej” zdecydował o przeprowadzeniu kontroli innego kuriozalnego umorzenia, które wydano w Prokuraturze Rejonowej Warszawa Praga-Południe. Chodziło o sprawę Konrada Ręka, wicelidera prokremłowskiej zmiany, który pochwałiał zbrodnię na Ukraińcach. Ale to prok. Osiński w 2020 r. zdecydował o „odciążeniu” prok. Młynarczyka od spraw dotyczących przestępstw z nienawiści i ich przekazaniu do Prokuratury Rejonowej w Otwoku, a także Prokuratury Rejonowej Warszawa Praga-Południe. ●

Kolega Ewy Tylman znów uniewinniony

Adam Z. nie zabił Ewy Tylman – uznał sąd w Poznaniu. – Spodziewałem się skazania przynajmniej za nieudzielenie pomocy, ale nie uniewinnienia – oburza się ojciec zmarłej.

Piotr Żytnicki

Śmierć Ewy Tylman to najgłośniejsza sprawa kryminalna ostatnich lat. Całkowite uniewinnienie jej kolegi Adama Z. jest dotkliwą porażką poznańskiej prokuratury, która od ponad sześciu lat brnie w wersję o zabójstwie młodej kobiety. To też dramat jej rodziny. – Nadal nic nie wiemy, będziemy cierpieć dalej. Zawiodłem się ogromnie na wymiarze sprawiedliwości – komentował na gorąco Andrzej Tylman, ojciec zmarłej.

– Nie uwierzymy w to, że Ewa Tylman sama zbiegła ze skarpy, pokonała kilkadziesiąt metrów i wpadła do wody. To naiwna wersja, której rodzina nie przyjmie i z którą się nie pogodzi – oburzał się adwokat Mariusz Paplaczek, pełnomocnik rodziny.

Przed ogłoszeniem wyroku najbardziej prawdopodobne wydawało się skazanie Adama Z. za nieudzielenie pomocy. Takie rozwiązanie sugerował bowiem sąd apelacyjny, który

w styczniu 2020 roku uchylał pierwszy wyrok uniewinniający, nakazując powtórzenie procesu. Jednak pięcioro sędziów – dwoje zawodowych i troje ławników – nie musiało brać tej sugestii pod uwagę. I nie wzięło.

Ta historia zaczęła się w nocy z 22 na 23 listopada 2015 r. 26-letnia Ewa Tylman wracała z kolegą Adamem Z. z nocnej imprezy w centrum Poznania. Byli pijani.

Kamery monitoringu nagrały ich po raz ostatni w okolicy mostu św. Rocha nad Wartą. Zniknęli z pola widzenia, a po pięciu minutach na nagraniu z kolejnej kamery pojawił się już tylko Adam. Twierdził, że nie pamięta, co stało się z koleżanką. Jej ciało wyłowiono z Warty po ośmiu miesiącach, w lipcu 2016 r.

Sąd w Poznaniu: Adam Z. nie zabił Ewy Tylman

Prokurator Magdalena Jarecka oskarżyła mężczyznę o zabójstwo. Dwa razy przekonywała sąd, że Adam Z. pokłócił się z Ewą Tylman i zepchnął ją ze skarpy, a potem nieprzytomną wepchnął do Warty. Jarecką wspierał minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Przed rozpoczęciem pierwszego procesu ogłosił: – Zarzut zabójstwa w mojej ocenie jest słuszny. Prokurator będzie go bronił.

Dowody były jednak skąpe. W kwietniu 2019 r. sąd po raz pierwszy uniewinnił Adama Z. W powtórzonym procesie prokuratorka pod-

trzymała zarzut zabójstwa i żądała skazania mężczyzny na 15 lat więzienia. Wczoraj sąd po raz drugi uniewinnił Adama Z.

– Nie ma dowodów, które pozwoliłyby skazać oskarżonego za zabójstwo – stwierdził sędzia Łukasz Kalawski.

Prokuratorka powoływała się na zeznania policjantów, którym Adam Z. miał się przyznać do zabójstwa Ewy Tylman podczas nieprotokołowanej rozmowy w komendzie. Tyle że podczas oficjalnego przesłuchania tego nie potwierdził. Uchylając pierwszy wyrok, sąd apelacyjny stwierdził, że zeznania policjantów nie mogą być w tej sprawie dowodem.

Ale nawet gdyby wziąć je pod uwagę, wersję prokuratury obala eksperyment. Pozoranci ciągnęli manekin spod skarpy na brzeg Warty i wypychali do rzeki. Najszybszemu zajęło to siedem minut, tymczasem Adam Z. miał dokonać zabójstwa w pięć minut. Prokurator-



Wyrok nie jest prawomocny i prawdopodobnie ponownie zajmie się nim sąd apelacyjny, bo zarówno prokuratura, jak i rodzina Ewy Tylman złożą apelację

ka przekonywała, że pijany mężczyzna mógł być szybszy od pozorantów o dwie minuty, bo działał pod wpływem adrenaliny.

Sąd w obu procesach w to nie uwierzył. – Pozoranci byli trzeźwi, wiedzieli, co mają robić, a sprawca potrzebowałby chwili do namysłu. Ta wersja nie może być brana pod uwagę – stwierdził w poniedziałek sędzia Kalawski.

Zmyśłone informacje?

Uniewinnienie od zarzutu zabójstwa nie zaskakuje. Niespodziewanie jednak sąd odrzucił także drugą możliwość – skazanie Adama Z. za nieudzielenie pomocy.

Na początku śledztwa, podczas jednego z przesłuchań, Adam Z. powiedział, że Ewa Tylman uciekała przed nim i sama wpadła do wody, on zaś spanikował i nie wezwał pomocy.

Tak brzmiał kluczowy fragment jego wyjaśnień: – Ewa była pijana, musiałem ją trzymać, by nie upadła. Obejmowałem ją. Opacznie to odebrała, wyrwała mi się i zaczęła biec w kierunku Warty. Wołałem: „Ewa, Ewa, ku...”. Zauważyłem, że wpadła do rzeki. Płynęła z nurtem, nie krzyczała. Nie próbowałem dzwonić po pomoc, na policję, pogotowie, bo spanikowałem. Nigdy wcześniej nie znajdowałem się w tak ekstremalnej sytuacji.

Adam Z. powtórzył to podczas wizji lokalnej, ale potem odwołał.

Sąd apelacyjny sugerował, że pierwsze wyjaśnienia wystarczyłyby do skazania Adama Z. za nieudzielenie pomocy.

Sędzia Łukasz Kalawski stwierdził jednak, że ta wersja także jest niewiarygodna, bo Adam Z. wskazał miejsce po prawej stronie mostu św. Rocha (patrząc od centrum Poznania), tymczasem kamery monitoringu nagrały jego i Tylman po lewej stronie mostu.

Dlaczego zatem Adam Z. mówił, że widział tonącą koleżankę i jej nie pomógł? Sąd uznał, że mężczyzna konfabulował, a wpłynąć na to mogła presja towarzysząca śledztwu.

Wyrok nie kończy sprawy

Sąd przyznał, że po zaginięciu Ewy Tylman jej kolega kręcił i podawał różne wersje. – Mamy pewne poszlaki, ale ich łańcuch jest zbyt słaby, by wydać wyrok skazujący – mówił sędzia Kalawski. Jego zdaniem nie ma nawet dowodu, że tamtej nocy Adam Z. zszedł ze skarpy w pobliże rzeki. Sędzia mówił, że z tego samego powodu – brak świadków i nagrań – nie można wykluczyć, że „Ewa Tylman znalazła się w wodzie bez udziału osób trzecich”. Wyrok nie jest prawomocny i prawdopodobnie ponownie zajmie się nim sąd apelacyjny, bo zarówno prokuratura, jak i rodzina Tylman złożą apelację. Prokuratorka Jarecka po ogłoszeniu wyroku uciekła z sali rozpraw, by nie rozmawiać z dziennikarzami. ●

Wznowiony proces katyński?

– Jest naszym obowiązkiem podjęcie tej sprawy w chwili, gdy w Moskwie rosyjscy żołnierze maszerują pod takimi samymi znakami jak ci, którzy strzelali do polskich oficerów w Katyniu – mówił prezydent Andrzej Duda podczas spotkania z Rodzinami Katyńskimi.

Prezydent Andrzej Duda już 10 kwietnia, podczas obchodów rocznicy zbrodni katyńskiej, zapowiedział, że przeanalizuje próbę wznowienia procesu katyńskiego „przed międzynarodowymi trybunałami”. Jego zdaniem sprawa mordu przeszło 22 tys. polskich oficerów i urzędników państwowych do tej pory nie została osądzona i nazwana. Zapowiedział, że przedstawi prawne możliwości ponownego procesu w sprawie. Jak zaznaczył, była to zbrodnia „ludobójstwa”, a taka nie ulega przedawnieniu.

Wczoraj podczas spotkania z przedstawicielami Rodzin Katyńskich prezydent Duda stwierdził, że choć Rosja przyznała się do zbrodni, ale historycy powiązani z władzą kwestionują to, że dokonałi jej Rosjanie. Prezydent zaznaczył, że ponowne poruszenie tej sprawy jest trudne, ale po tym, co świat zobaczył w Ukrainie, jest on bardziej skłonny uznać polskie argumenty.

Prezydent mówił o ponownym postępowaniu i wskazywał, że część jego doradców oraz przedstawicie-

le Ministerstwa Spraw Zagranicznych wskazują, że takie możliwości istnieją.

Przypomnijmy, że w 2013 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że Rosja popełniła zbrodnię wojenną i że naruszyła europejską konwencję praw człowieka, m.in. prowadząc śledztwo opieszale. Długotrwałe postępowania rozpoczęła w 2008 r. córka jednego z oficerów – Witomila Wolk-Łaniewska, do której dołączyło kilkanaście rodzin katyńskich. Postępowanie zostało wsparte przez grupę prawników oraz MSZ. Nie doszło jednak do rehabilitacji ofiar – co umożliwiłoby wystąpienie z pozwami cywilnymi.

Prowadzone w Rosji śledztwo w tej sprawie zostało umorzone z powodu śmierci sprawców. Polsce nie zostały udostępnione wszystkie akta dochodzenia. Zdaniem Rosji zbrodnia katyńska nie była zbrodnią ludobójstwa, bo ten termin został wprowadzony po II wojnie światowej.

Rozpoczęcie starań o skierowanie pozwu przeciwko władzom Rosji prezydent uzależnia od decyzji Rodzin Katyńskich, co zaznaczył także podczas spotkania. ●

Paweł Wroński

wyborcza.pl

• **Więcej czytaj na Wyborcza.pl/kraj**



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA

ZARZĄD POWIATU GRYFICKIEGO

na podstawie przepisów ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2021 r. poz. 1899 t.j. ze zm.)

OGŁASZA III PRZETARG USTNY NIEOGRANICZONY NA SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI ZABYTKOWEJ

495/8 o powierzchni 8.9680 ha obr. Płoty 3, KW SZ1G/00030519/1

STANOWIĄCEJ WŁASNOŚĆ POWIATU GRYFICKIEGO ZABUDOWANEJ ZAMKIEM NOWYM DAWNĄ REZYDENCJĄ RODZINY VON BISMARCK



Przetarg odbędzie się w dniu 12 sierpnia 2022 r. o godz. 12⁰⁰

w siedzibie Starostwa Powiatowego w Gryficach, Plac Zwycięstwa 37, III piętro, pok. 315.

Termin wpłaty wadium do dnia 8 sierpnia 2022 r.

Cena wywoławcza – 2 000 000,00 zł słownie: dwa miliony złotych

Wadium – 200 000,00 zł słownie: dwieście tysięcy złotych

Informacje można uzyskać w Wydziale Nieruchomości i Inwestycji Starostwa Powiatowego w Gryficach, ul. Dworcowa 23, I piętro, pok. 12, 13 lub telefonicznie pod nr 91 3842407.

Ogłoszenie o przetargu wywieszone zostało na tablicy ogłoszeń w siedzibie Starostwa Powiatowego w Gryficach oraz dostępne jest wraz z opisem nieruchomości na stronie internetowej www.gryfice.pl, a także w Biuletynie Informacji Publicznej <http://spow.gryfice.ibip.pl>

OGŁOSZENIE 34176907



Nie ma wolności bez solidarności

Masz temat dla reporterek i reporterów „Wyborczej”?
Chcesz się podzielić swoją opinią, historią?

Pisz: listy@wyborcza.pl

Solidarni z Ukrainą

Umowę podpiszą tylko ze mną, a nie z rodziną z Ukrainy

Zawsze miałem raczej niezbyt dobre zdanie o współobywatelach. Jednak to, co nas spotkało, przelało czarę goryczy. Zajęliśmy się rodziną uchodźczą z Ukrainy: mamą z córką z niepełnosprawnością ruchową. Otoczyliśmy opieką, zadbaliśmy o PESEL, opiekę zdrowotną, szkołę integracyjną dla dziecka, niezłą pracę dla mamy.

Kolejny krok – małe mieszkanie. Przed spotkaniem z wynajmującymi zawsze mówiliśmy: mama, córka po DPM z UA. Pierwszy przypadek, pani Wioletta, mieszkanka dzielnicy Wyżyny z Bydgoszczy, ustalone koszty (ceny rynkowe), okres 1 rok, jesteśmy umówieni na podpisanie umowy. Chwilę przed podpisaniem umowy telefon – podpiszą ze mną, a nie z rodziną z Ukrainy.

Drugi przypadek, warunki jak wyżej, podpisujemy umowę, wpłacamy kaucję, ustalamy datę przeprowadzki. Dzień przed dzwoni pani Irena z dzielnicy Czyżkówko, że jednak nie wyda kluczy, mamy odebrać kaucję. Na pytanie dlaczego? No bo tak.

I jak można mieć dobre zdanie o rodakach (przynajmniej niektórych)? Oczywiście nie poddajemy się i szukamy kawalerki dalej. ●

Pozdrawiam

Czytelnik

Kto czyta?

Pracuję na dwa etaty jako pielęgniarka i nigdzie się nie ruszam bez książki

Szój list zacznę tak, jak zwykle zaczynałam wypracowanie z polskiego w czwartej klasie podstawówki, czyli „Z wielką ciekawością i zainteresowaniem posłuchałam podcastu na temat świeżo opublikowanego sondażu o czytelnictwie w Polsce”.

Ten list na pewno nie powstałby, gdyby jeden z redaktorów nie podał przykładu „pielęgniarki pracującej na dwa etaty” jako tej nieczytającej, a tak się bowiem składa, że jestem dokładnie taką pielęgniarką, z tą różnicą, że ja czytam od zawsze, czytam wszędzie (w autobusie w drodze do pracy i z powrotem, na nocnym dyżurze, gdy jest cisza i spokój, w każ-

dej dostępnej wolnej chwili), nigdzie się nie ruszam bez książki, zarazam czytaniem wszystkich wokół.

Co mi dają książki? Może gdyby pytanie brzmiało, czego mi nie dają, byłoby łatwiej odpowiedzieć. Udowodniono, że czytanie obniża poziom stresu i podpisuję się pod tym obie-
ma rękami, gdyby nie książki, nie poznałabym świata z całym jego pięknem i złożonością i, no cóż, chyba bym zwariowała w tym kieracie, ale to już temat na inny list.

Pozdrawiam bardzo serdecznie pana Grzegorza Wysockiego oraz całą redakcję. ●

Ewa Witas

listy@wyborcza.pl



*Programy informacyjne TVP:
12.00 „Wiadomości”
17.00 „Teleexpress”
19.30 Wina Tuska*

PAWEŁ NOWAKOWSKI



DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

- Wejdź: Wyborcza.pl/WyborczaToWy
- Zapisz się na codzienny newsletter: Wyborcza.pl/newslettery

Własność to przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa

Gdzie podzieję się na starość bez własnego mieszkania?



• „Prawo do mieszkania” oznacza także możliwość najmu po rozsądnej cenie

FOT. PIOTR SKÓRNICKI
/ AGENCJA
WYBORCZA.PL

Tekst Alicji Defratyki doprowadził do gorącej dyskusji wśród czytelników. Autorka napisała: „Na nowo rozgorzała dyskusja na temat rynku mieszkaniowego, związana z rosnącymi cenami mieszkań i ratami kredytów, spadkiem zdolności kredytowej oraz rzekomą bardzo złą sytuacją młodych osób. Celowo piszę »rzekomą«, ponieważ wokół tego tematu przez lata narosło wiele mitów”. I spuentowała: „Hasło lewicy »mieszkanie prawem, a nie towarem« przypomina słynne »czy się stoi, czy się leży, dwa ty-siące się należy«”.

KOMENTARZE CZYTELNIKÓW

markwiat: Jakimś rozwiązaniem na bardzo drogie mieszkanie w dużych miastach byłby progresywny podatek katastralny dla właścicieli wielu mieszkań. Zniechęciłby zagraniczne fundusze do wykupowania niemal całych bloków.

Własność daje poczucie bezpieczeństwa

Sebastian Moś: Ile, wynajmując, odłoży na mieszkanie na przykład salowa, dozorca, pracownica socjalna albo pocztowiec! Liberalni kapitaliści, zrozumcie w końcu, że dla ludzi z pensjami 3010-5000 złotych brutto wynajem i oszczędzanie jest poza zasięgiem. W dodatku na starość przy głodowej emeryturze biedny nie będzie mógł wynajmować i wobec braku własnego mieszkania skończy w rynsztoku.

juliana: Autorka nie dostrze-ga „drobnego” problemu – gotowa jestem wynajmować przez całe życie (nie mam obsesji własności) – byle dało się wynająć mieszkanie np. za 20 proc. pensji np. naukowca.

swadharma: Szanowna Autorko, brak mieszkania własnościowego dokucza młodym, studentom? Mam prawie 40 lat i po latach w akademiku zaliczyłam 7 mieszkań studenckich plus pokój w zamian za opiekę nad starszą osobą. Do 36. roku życia mieszkałam w pokojach dwuosobowych – z czego trzy lata z chłopakiem, reszta to osoby z ogłoszenia. Nadal mieszkam w mieszkaniu studenckim, w pokoju jednoosobowym, ale mierząc się z wyzwaniem dzielenia reszty mieszkania z osobami kilkanaście lat młodszymi ode mnie. Pracuję od 9 lat na umowie o pracę w korporacji. Moja ostatnia podwyżka po 2,5 roku to 200 zł brutto (praca przy komputerze – wyczerpująca, od lat bez dwutygodniowego urlopu, nadgodziny średnio 17 godzin w miesiącu). Pierwsza wypłata sprzed 9 lat – 2200 zł, obecnie – 4100 zł (nie licząc nadgodzin). O jakim wzroście pensji, który miałby zrekompen-sować wzrost cen mieszkań, Pani mówi? Odmawiając sobie wiele, zaoszczędziłam w zeszłym roku 24000 zł – wzrost cen mieszkań w Krakowie w ciągu roku niech już sobie Pani sama sprawdzi.

Jeśli ja nie będę miała własnego mieszkania, gdzie będę mieszkać na starość i za co? Jakie ja mam perspektywy założenia rodziny (poprzedni partner był w gorszej sytuacji finansowej niż ja; porad „znajdź bogatego męża” albo „we dwójkę łatwiej o kredyt” chyba nie należy traktować poważnie)? Własność to przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. W kraju, w którym wynajem przez całe życie jest finansowo bezpieczną opcją, posiadanie nieruchomości priorytetem nie będzie. Co do kredytu, kiedy zaczęłam go brać pod uwagę, wzrost cen przyspieszył, a teraz mogę się tylko ucieszyć, że kredytu nie wzięłam (stopy procentowe).

Jeśli ja nie będę miała własnego mieszkania, gdzie będę mieszkać na starość i za co?

Jakie ja mam perspektywy założenia rodziny (poprzedni partner był w gorszej sytuacji finansowej niż ja; porad „znajdź bogatego męża” albo „we dwójkę łatwiej o kredyt” chyba nie należy traktować poważnie)? Własność to przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. W kraju, w którym wynajem przez całe życie jest finansowo bezpieczną opcją, posiadanie nieruchomości priorytetem nie będzie. Co do kredytu, kiedy zaczęłam go brać pod uwagę, wzrost cen przyspieszył, a teraz mogę się tylko ucieszyć, że kredytu nie wzięłam (stopy procentowe).

maxplastic: Artykuł częściowo opiera się na założeniu, że ludziom pensje rosną przez lata, ale tak być nie musi. Może ktoś pracuje 15 lat w sklepie i wtedy o ile więcej zarobi przez te lata? Kupowałam mieszkanie w 2008 za 6,7 tys. za metr i to było dość tanio, na dużym osiedlu Warszawy. Połowa to kredyt frankowy, który po kilku latach wyniósł 2 x tyle, czyli mieszkanie okazało się o kolejnych ok. 120 tys. droższe. Dziś tu mieszkania kosztują pewnie 10-13 za metr.

Alis321: „Prawo do mieszkania” niekoniecznie musi oznaczać pra-

wo do własności mieszkania, ale także możliwość najmu mieszkania po rozsądnej cenie. Jeśli jednak korzysta się z najmu, większość ludzi nie ma już realnych szans na zgromadzenie środków na późniejszy zakup. Praktycznie wybór jest taki: albo decyduję się na najem i te pieniądze tracę bezpowrotnie, albo splacam raty i na końcu staję się właścicielem mieszkania, stanowiącego istotny majątek.

Niech państwo zaangażuje się w najem

napuszak: Ale w sumie co by było złego w tym, gdyby dzięki państwu młodzi ludzie mieli możliwość mieszkania np. za 600 zł miesięcznie na start w dorosłość? Czy ujmowałoby to coś ludzkiej wolności, kreatywności i wolnemu rynkowi? Chyba nie – takim osobom łatwiej by było działać na wolnym rynku, gdyby już miały zagwarantowane podstawowe potrzeby mieszkaniowe i samodzielność, jeżeli nie było im dane odziedziczyć mieszkania po rodzicach.

Impius42: Niech państwo wejdzie w rolę aktywnego pośrednika najmu. Wtedy wynajmujący miałby ustaloną niższą stawkę, ale w zamian nic by go nie obchodziło: to państwo płaciłoby mu regularnie tę stawkę i troszczył się o to, jak znaleźć najemców i jak z nich ściągnąć pieniądze. A ma w tym względzie dużo większe możliwości niż prywatny wynajmujący.

Głos: Gdyby przy wynajmie ochrona lokatora była na koszt państwa, a nie na koszt właściciela, to wtedy mieszkań na wynajem by nie zabrakło. Racjonalizacja ochrony lokatora może polepszyć sytuację w wynajmie mieszkań.

kaska: Pierwszy problem, jaki trzeba rozwiązać, to prawa właścicieli mieszkań prywatnych i komunalnych, tak by niepłacący ładowali w mieszkaniu socjalnym, a nie latami żyli na koszt innych. Wtedy będzie więcej mieszkań na wynajem, co powinno obniżyć ceny. ●

• Piszcie: listy@wyborcza.pl

Nabór do policji

4310

ZŁ BRUTTO
• będzie zarabiał
policjant po odbyciu
kilkumiesięcznego
szkolenia (w jego trakcie
3250 zł). Śląska policja
zachęca kandydatów
do składania podań o pracę

Kasprowy Wierch. Polsko-ukraińskie spotkanie na szczycie



FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak co roku na zakończenie sezonu zimowego na Kasprowym odbyły się spotkanie jego przyjaciół i msza. Tym razem wzięli w nich udział także Ukraińcy, którzy uciekli przed wojną. – Naszym zadaniem w Polsce jest to, żeby żony, matki i dzieci żołnierzy, którzy walczą w Ukrainie, czuli, że tu mają swój drugi dom, równie przyjazny jak ten, który został zbombardowany – mówił Rafał Sonik, były kierowca rajdowy i uczestnik spotkania. Brał w nim udział były prezydent Bronisław Komorowski. List przesłali Agata Kornhauser-Duda i prezydent Andrzej Duda. ● mp

Stolica zwalnia

Warszawa w strefie Tempo 30

Duża część ulic ma być docelowo objęta ograniczeniem prędkości. Ratusz wzorem innych europejskich miast chce na masową skalę wprowadzać strefy Tempo 30, by poprawić bezpieczeństwo i zmniejszyć hałas.

Jarosław Osowski

Strefy Tempo 30 to coraz bardziej powszechne rozwiązanie w UE. W 2021 r. wprowadził je rząd Hiszpanii, a mer Paryża Anne Hidalgo zapowiedziała taki limit na większości ulic z wyłączeniem m.in. Pół Elizejskich czy obwodnicy La Périphérique. Badania potwierdzają, że przy tak bardzo obniżonej prędkości nie tylko skutki wypadków są mniej tragiczne, ale też znacząco spada ich liczba.

W tym tygodniu warszawscy urzędnicy otworzą oferty w przetargu na opracowanie jednolitych standardów przy wyznaczaniu obszarów z uspokojonym ruchem. „Zwyczajna przygotuje przykładowe projekty stref w dwóch dzielnicach” – czytamy w komunikacie ratusza.

– To część większego programu, który będzie mieć wpływ na rozwój Warszawy i wpisze się w zapowiedzi prezydenta Rafała Trzaskowskiego, by docelowo na dwóch trzecich ulic prędkość została obniżona do 30 km na godz. – mówi Tamás Dombi, dyrektor miejskiego Biura Zarządzania Ruchem Drogowym.

Wisłostrada bez zmian

Taką deklarację razem z planem poprawy bezpieczeństwa ruchu drogowego Trzaskowski złożył jesienią 2019 r. Było to kilka tygodni po tragicznym wypadku na ul. Sokratesa, gdzie rozpedzony do ponad 130 km na godz. 33-letni kierowca bmw zabił rówieśnika, który przechodził przez ulicę z rodziną na pasach. W zeszłym tygodniu skończyła się przebudowa tego odcinka, która uniemożliwia rozwijanie większych prędkości.

spowalniające jazdę, gdzie zwężenia, wyesowany tor jazdy, a gdzie właśnie urzędnicy zdecydowali się dodatkowo na obniżenie prędkości.

Teraz szanse są większe

Czy jednak do systemowych zmian w całym mieście nie należy podchodzić z dużą rezerwą? „Wyborcza” już w 2009 r. opisywała plan objęcia strefą Tempo 30 większej części Śródmieścia. Skończyło się na okolicach ulic Koszykowej i Mokotowskiej. Kiedy Zarząd Dróg Miejskich ogłosił potem konsultacje w tej sprawie dla mieszkańców Muranowa, torpedował je ówczesny burmistrz dzielnicy Wojciech Bartelski (obecnie prezes Tramwajów Warszawskich). Pomysłem ograniczenia prędkości nie służyło nastawienie poprzedniejzydent miasta Hanni Gronkiewicz-Waltz. W kampanii wyborczej do ratusza w 2014 r. przekonywała zaś: „Tempo 30 km na godzinę to jest nierealne, wszyscy musieliby nieustannie płacić mandaty”.

W 2020 r. relacjonowaliśmy wizytę u radnych miasta Sylwii Jedynskiej ze Strefy Mieszkańców, która zabiega nawet o strefy Tempo 20 przed szkołami i o skwery na środku skrzyżowań – jak w Barcelonie. Samorządowcy przyklaskiwali, ale nic z tego dotąd nie wynikło.

Teraz nadzieje na realizację tego pomysłu są większe. – Mniej jest protestów, a więcej próśb od mieszkańców o uspokojanie ruchu – przekonuje dyrektor Dombi.

Podkreśla, że ważna będzie też druga część opracowania, czyli wytyczne dla dzielnic i deweloperów przy budowie nowych odcinków na powstających osiedlach: – Tam od razu powinno się wprowadzać ograniczenia dla kierowców. Niekoniecznie strefy obniżonej prędkości, ale też strefy mieszkańców z ustaleniem lokalizacji miejsc parkingowych i pierwszeństwem dla pieszych oraz rowerzystów. ●

Puszcza Białowieska

Którędy do „ducha puszczy”?

W zamkniętej strefie przy granicy polsko-białoruskiej pojawiły się drogowaskazy przybite gwoździemi do chronionych drzew. Informują o odległościach do różnych miejscowości i do miejsca, w którym można zdobyć... bimber. Ruch „Nie dla muru” wskazuje, że ich autorami są żołnierze.

Parę dni temu na białostockich stronach „Wyborczej” opisaliśmy katastrofalny stan jednego z rezerwatów Puszczy Białowieskiej w zamkniętej strefie przygranicznej, gdzie budowana jest 5,5-metrowa stalowa zapor.

Obywatelski ruch „Nie dla muru” upublicznił wstrząsające zdjęcia obrazujące rozwalone drogi, nawieziony tłuczeń kamienny, pobocza rozjeżdżone i zryte ciężkim sprzętem, zdartą przez niego korę drzew, porozrzucane wzdłuż dróg i ścieżek śmieci (np. papier toaletowy, ale też odpady plastikowe), pozostałości po prowizorycznych posterunkach ze śladami palenia ognisk.

Ruch „Nie dla muru” udostępnił właśnie kolejne fotografie z Puszczy.

Tym razem widać na nich tabliczki – drogowaskazy przybite do tutejszych drzew (chronionych), na których znalazły się informacje o odległościach dzielących te miejsca – nieopodal budowanej zapory – od Legnicy, Żagania, Szprotawy czy Opola, a więc miejscowości, z których pochodzą mundurowi, którzy stacjonują lub stacjonowali przy granicy polsko-białoruskiej od początku panującego tu kryzysu migracyjnego, czyli od sierpnia ubiegłego roku. Na jednym z drzew obok tabliczek z nazwami polskich miejscowości jest też wskazująca na odległość do Miami, a obok drzew (zbita również z drewnianych elementów) informująca, w jakim kierunku należy zmierzać, aby natrafić na „ducha puszczy”, czyli bimber pędzony przez miejscowych.



FOT. NIE DLA MURU

Ruch „Nie dla muru” komentuje: „Sezon turystyczny w Puszczy Białowieskiej rozpoczął się! W związku z tym pojawiły się przy szlakach nowe drogowaskazy. Cenne wskazówki – którędy do Żagania, Opola czy Miami. I oczywiście bezcenna wskazówka dotycząca ducha puszczy. Wiadomo. Autorami nowych wzorów drogowaskazów jest Wojsko Polskie, a deseczki z nazwami miejsc przybite są gwoździemi do żywych drzew. Niektóre z nich na terenie rezerwatu przyrody. Zastanawiamy się, co na to Lasy Państwowe i Nadleśnictwo Białowieża. Ukryli głowy w piasek zwieziony przez hiszpański Budimex [wykonawcę zapory powstającej na polsko-białoruskiej granicy] i luz? Jak Wam nie wstyd, nawet nie reagować?”.

W niedzielę rano o odniesienie się do faktu pojawienia się tych tabliczek poprosiliśmy MON i Regionalną Dyрекcję Lasów Państwowych w Białymostku. Czekamy na odpowiedź. ●

Maciej Chołodowski

Walka o przetrwanie

Wcześniej czy później będzie musiało przyjść takie samo lekarstwo jak zawsze, czyli spowolnienie gospodarcze. Czy będziemy je nazywać recesją, czy nie, tego nie jestem w stanie stwierdzić, ale ten poziom cen jest trudny do wytrzymania dla zwykłych obywateli.

ROZMOWA Z

KRZYSZTOF DOMARECKI

głównym akcjonariuszem Grupy Selena, która jest jednym z największych w Polsce sprzedawców chemii budowlanej

PATRYCJA MACIEJEWICZ: Mamy zerwane łańcuchy dostaw i rekordowe wzrosty cen. Jeszcze chwilę temu wszyscy mówili o boomie budowlanym, dziś to już nie jest takie oczywiste. Co się wydarzy w tym roku?

KRZYSZTOF DOMARECKI: Nie mam złudzeń: gospodarka zarówno europejska, jak i światowa nie są w stanie na dłużej wytrzymać takiego wzrostu cen – cementu, stali, surowców, materiałów budowlanych.

Skutki tego już są widoczne. W wielu miejscach w Europie notowany jest spadek liczby inwestycji. Wiele firm zatrzymało nowe inwestycje albo opóźnia je o rok czy dwa. Także liczba wniosków o pozwolenie na budowę zaczęła spadać – i to praktycznie w całej Europie.

O tym, że sytuacja w sektorze budowlanym nie jest tak jednoznaczna, świadczy to, że deweloperzy w ciągu ostatnich trzech miesięcy sprzedali najmniej mieszkań od przynajmniej kilku kwartałów; kurczy się też ich oferta, liczba nowych inwestycji spadła. Inwestycje deweloperskie potrzebują czasu, więc potwierdzenie tych zmian zobaczymy w danych za kilka, kilkanaście miesięcy.

Widać więc, że to zatrzymanie popytu już się zaczęło. Mamy przecież wzrost kosztu kredytów i nowe regulacje ograniczające zdolność kredytową. W bankach liczba nowych kredytów w porównaniu rok do roku spadła o 40 proc. Także kredytów inwestycyjnych zaciąganych przez firmy jest mniej – ich spadek wynosi 20-30 proc. Firmy nie zaciągają kredytów pod nowe inwestycje, bo przy tym koszcie pieniądza nie są w stanie ich obsłużyć.

Będzie twarde lądowanie?

– Wcześniej czy później będzie musiało przyjść takie samo lekarstwo jak zawsze, czyli spowolnienie gospodarcze. Czy będziemy je nazywać recesją, czy nie, tego nie jestem w stanie stwierdzić, ale ten poziom cen jest trudny do wytrzymania dla zwykłych obywateli, którzy chcieliby lepiej mieszkać i dostatecznie żyć. Być może ceny jeszcze wzrosną, ale ostatecznie to się skończy potężnym załamaniem popytu.

Na razie, w I kwartale, popyt wyglądał nie najgorzej, ale pamiętajmy, że to efekt „rozpędu” z końcówki zeszłego roku. Niestety, coraz więcej ekonomistów mówi, że zaczyna nam grozić stagflacja – bo inflacja już jest.

Obserwujemy teraz, że wielu deweloperów wyprzedaje po coraz wyższych cenach niesprzedane wcześniej nieruchomości, a nowe inwestycje są wstrzymane. Tylko że ta fala popytu się kończy.

Kto ostatni kupi, ten...?

– No właśnie, dobre pytanie. To zależy od inflacji.



• **Wiele firm zatrzymało nowe inwestycje albo opóźnia je o rok czy dwa. Także liczba wniosków o pozwolenie na budowę zaczęła spadać – i to praktycznie w całej Europie**

FOT. SHUTTERSTOCK

Jesteśmy producentem materiałów budowlanych, więc dla nas inflacja jest zjawiskiem, którym z jednej strony musimy zarządzać po stronie kosztów zakupowych, a z drugiej – po stronie cen sprzedaży.

A u pana jest jakiś komponent, którego teraz brakuje?

– Mnóstwo! Akurat nie mamy zaopatrzenia z Ukrainy, surowce kupujemy w USA, Azji lub Europie, w zależności od dostępności i ceny, ale w dostępności naszych komponentów też są wielkie turbulencje. Obecnie statki czekają w Szanghaju trzy tygodnie na wejście do portów. To oznacza, że setki tysięcy firm europejskich będzie miało braki surowców. To są szoki podażowe, które windują ceny.

Inflacja oznacza dla nas głównie presję na marżę, bo surowce drożeją, ale klienci nie są w stanie zaakceptować każdego wzrostu cen.

Pana firma jest na to przygotowana?

– Już zredukowaliśmy tegoroczne wydatki inwestycyjne – w odniesieniu do początkowego budżetu o całe 50 proc.

To bardzo dużo.

– Dotyczy to różnych inwestycji, zarówno maszynowych, jak i budowlanych. Selena, mając 17 zakładów produkcyjnych, na bieżąco musi ponosić nakłady inwestycyjne. Ale kalkulacja jest jasna: po pierwsze – koszt pieniądza, po drugie – niepewna sytuacja co do popytu, a po trzecie – koszt samych inwestycji sprawiły, że te inwestycje przestały się już opłacać.

A to tylko początek oszczędności wielu firm, bo najpierw będą one ograniczały projekty inwestycyjne, a potem cięły pozostające.



Przez ostatnie 15 lat polskie firmy mocno się zinternacjonalizowały. Mają klientów na całym świecie i dalej będą ich szukać w różnych krajach. Problem jest tylko taki, że braki surowców i wysokie ceny są wszędzie

KRZYSZTOF DOMARECKI
główny akcjonariusz Grupy Selena

stałe koszty. To oznacza również redukcję zatrudnienia, ze wszystkimi jej konsekwencjami dla gospodarki.

Firmy będą musiały walczyć o przetrwanie tego kolejnego zakrętu. Nas zapewne też to czeka, gdy już przejdziemy etap obcinania kosztów operacyjnych, obniżania – jeśli się da – lub optymalizowania cen produktów, a te zabiegi mogą być wciąż niewystarczające.

Jest pan tego pewien już teraz?

– Poprzednie kryzysy tak wyglądały. Wydaje się mało prawdopodobne, by następny wyglądał inaczej. A funkcją kryzysu gospodarczego jest uzdrawianie gospodarki.

Inwestycje nie były naszą silną stroną nawet w dobrych czasach. Skąd będziemy czerpać siłę, żeby odbić się po spowolnieniu czy recesji?

– Inwestycje przedsiębiorstw polskich zmniejszą się z powodów, o których mówiłem wcześniej. Natomiast bezpośrednie inwestycje zagraniczne utrzymują się i będą nadal się utrzymywać, co może zaburzać cały ten obraz. Polska była i jest bardzo atrakcyjnym miejscem dla firm, nie tylko z USA czy Europy Zachodniej, ale także z Azji i Bliskiego Wschodu.

Obecnie wiele firm światowych dokonuje przeglądu kierunków swoich inwestycji. Na przykład fundusze ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, jeśli chodzi o inwestycje portfelowe i bezpośrednie, umieściły Polskę w dziesiątce najbardziej atrakcyjnych lokalizacji.

W poprzednich kryzysach polskie firmy stosowały ucieczkę do przodu – szukanie innych rynków zbytu – lub wchodziły w łańcuchy dostaw zamiast zachodnich firm, które wypadały ze względu na koszty.

– Przez ostatnie 15 lat polskie firmy mocno się zinternacjonalizowały. Mają klientów na całym świecie i dalej będą ich szukać w różnych krajach. Problem jest tylko taki, że braki surowców i wysokie ceny są wszędzie: i w Hiszpanii, i w Meksyku.

No to może zachodnie koncerny rozważyć przeniesienie produkcji gdzieś bliżej do Europy, na przykład do nas.

– To ładne hasło, ale by było możliwe, potrzebna jest cała baza zaopatrzeniowa w Europie. Nie mamy jej, bo Europejczycy 30 lat pracowali na to, by wyeksportować produkcję do Azji, mnóstwo produkcji takiej, która Europejczykom – mówiąc kolokwialnie – brzydko pachniała.

Europejczycy nie zaakceptują powrotu produkcji szkodliwej środowiskowo bądź choćby kłopotliwej. Dlatego nearshoring będzie miał bardzo ograniczony zasięg.

Środowiskowe wyzwania wyznaczają kierunek dla firm.

– Po pierwsze – dekarbonizacja i troska o środowisko jest już trendem stałym. Nie zmienia tego ani wojna, ani jej następstwa. Owszem, ten trend może czasowo wyhamować, procesy spowolnią.

Po drugie – przez ostatnie pięć-siedem lat nastąpiła pozytywna zmiana: to, że coraz większą dynamikę temu trendowi zaczęły nadawać firmy, nie tylko regulacje. Firmy zrozumiały, że to jest sposób na kreowanie wartości, których oczekują konsumenci.

Co państwo robicie w tym zakresie?

– Proponujemy firmom zestaw rozwiązań, który nazwaliśmy „kompletny dach energetyczny”. Selena obecna jest na dachach 15 lat, produkujemy pokrycia dachowe, więc kwestie konstrukcji, szczelności czy bezpieczeństwa dachu latem i zimą rozwiązujemy od dawna. Dolożenie do tej oferty wytwarzania energii na dachach jest tylko kolejnym krokiem.

Zaproponowaliśmy więc rozwiązania kompleksowe. Wiele dachów nie jest w stanie udźwignąć instalacji PV z powodów konstrukcyjnych. Jeśli instalacja ma być na dachu 25 lat, to przyjmujemy, że tyle samo musi też wytrzymać dach, więc zwiększamy jego trwałość.

Widzimy olbrzymie zainteresowanie tym trendem. Przemysł ewoluuje w kierunku gospodarki niskoemisyjnej szybciej, niż to wynika z regulacji. Firmy wiedzą, że konsumenci będą potrzebować produktów pozostawiających niski ślad węglowy; sposobem na to jest obniżenie zużycia prądu i przejście z czarnej energii na zieloną.

Czy ten obszar działalności będzie dla nas istotnym źródłem przychodów? Zobaczymy. Po części zależy to od tego, jakie narzędzia wsparcia będzie oferować UE – te procesy ostatnio się zawałyły – i jaką dynamikę wdrażania będzie miał program „Fit for 55”. Myślę, że na rozstrzygnięcia w tych kwestiach musimy poczekać jeszcze kilka miesięcy.

Teraz dekarbonizacja zyskała wymiar moralny, ale udźwignięcie dekarbonizacji będzie i trudniejsze, i droższe.

– Dlatego UE będzie nieco tonowała ten proces. Moim zdaniem będzie nim zarządzała w taki sposób, żeby był on do udźwignięcia dla gospodarek i obywateli. Popatrzmy na ostatnią kampanię wyborczą we Francji: tam coraz głośniejsze mówi się o właściwym zbalansowaniu tych procesów, o ich kosztach środowiskowych, z uwzględnieniem możliwości obywateli. Francuzi są tego świadomi, a ich zdolność przekonywania w Europie jest spora. ●

Rozmawiała Patrycja Maciejewicz

Niskie oprocentowanie lokat?

Złotą zasadą zawsze było to, że wraz z podwyżką stóp procentowych w górę idzie oprocentowanie lokat.

Ale tym razem tak to nie działa. Do gry ma więc wejść premier Mateusz Morawiecki i zmusić bankowców do podwyższenia oprocentowania bankowych depozytów.

Anna Popiołek

Od osiemu miesięcy Rada Polityki Pieniężnej miesiąc w miesiąc podnosi stopy procentowe. Teraz główna stopa referencyjna wynosi już 5,25 proc., po ostatniej majowej podwyżce o 75 punktów bazowych. A jeszcze na jesieni ubiegłego roku było to 0,1 proc. Bankowcy nie mają skrupułów, żeby wraz z kolejnymi podwyżkami stóp procentowych i wzrostem WIBOR-u podwyższać oprocentowanie kredytów.

Niektórzy już teraz płacą dwa razy wyższą ratę niż wtedy, gdy zaciągali kredyt hipoteczny.

Z jednej więc strony więcej płacimy za kredyty, a z drugiej – to banki powinny więcej płacić za powierzanie im naszych pieniędzy. To jednak dzieje się bardzo powoli. Przez miesiąc po pierwszej podwyżce stóp procentowych oprocentowanie lokat w dużych bankach wciąż było na poziomie 0,1 proc. Dopiero w ostatnich tygodniach banki zaczęły weryfikować swoje stawki.

mBank zaoferował nawet 2,2 proc. dla nowych środków, Crédit Agricole – nawet 3 proc.,

a PKO BP do 2,5 proc. dla wszystkich i 3,3 proc. dla klientów VIP.

Jednak to i tak ciągle za mało. Biorąc pod uwagę podatek Belki, bankowcy musieliby zaproponować klientom kilkanaście procent, żeby pieniądze oszczędzających przez sześć lat – która już jest na poziomie 12 proc., a będzie jeszcze wyższa – nie traciły na wartości.

Czy to wina bankowców?

Nie ma co się dziwić, że banki nie kwapią się do podwyżki oprocentowania lokat, jeśli, po pierwsze, nie potrzebują więcej naszych oszczędności, bo mają nadpłynność – tyle pieniędzy i tak trzymamy w bankach, a po drugie, bank centralny skupuje od banków obligacje skarbowe, dosypując pieniędzy do kas banków tak, że te nie potrzebują więcej depozytów.

Dlatego do gry wszedł premier Mateusz Morawiecki, były bankowiec.

– Mam nadzieję, że we wszystkich bankach komercyjnych prowadzone są pilne analizy dotyczące podniesienia stóp procentowych na depozyty dla obywateli i dla firm. To powinno się dzisiaj dziać na naszych oczach, w ślad za wzrostem

oprocentowania obligacji – mówił premier podczas XIV Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

I zaapelował wtedy wprost do bankowców: – Nie czekajcie dłużej, ponieważ jest to nadmierny zysk, który pojawia się w waszych portfelach, niesprawiedliwy zysk i dlatego jestem przekonany, że te zero- czy 1-procentowe depozyty przejdą za chwilę do przeszłości i pojawią się realne, dobre stawki dla lokat bankowych, co najmniej 3- czy 4-procentowe, które muszą podążać za rosnącą stopą referencyjną banku centralnego.

Wzwanie Morawieckiego rozwinął przewodniczący Stałego Komitetu Rady Ministrów Łukasz Schreiber. – W najbliższym tygodniu odbędą się spotkania w tej sprawie. Będziemy starali się i premier osobiście będzie się starał zmienić banki do zmiany kursu – powiedział w niedzielę.

Zgodził się z twierdzeniem, że niepodnoszenie oprocentowania lokat przez banki jest oburzające. Dodał, że wypowiedzi opozycji, iż

„premier działa na rzecz banków”,
są bezczelne i obrzydliwe.

Co na to banki?

Już w poniedziałek Alior Bank ogłosił, że podnosi oprocentowanie kont oszczędnościowych oraz lokat do maksimum 5 proc. Dziś w ofercie pojawi się m.in. trzymiesięczna Lokata Mobilna z oprocentowaniem w wysokości 5 proc. w skali roku. Od dziś stawkę 5 proc. w skali roku Alior Bank zaofertuje też na Lokacie na Nowe Środki na okres 365 dni. W przypadku pozostałych okresów oprocentowanie wyniesie odpowiednio 4,5 proc. w skali roku na 182 dni oraz 4 proc. w skali roku na 92 dni.

Podwyżki stóp procentowych to dla banków łatwy i szybki wzrost zysków. Z opublikowanych pod koniec kwietnia danych Narodowego Banku Polskiego wynika, że na koniec lutego 2022 r. zysk banków sięgnął ponad 4,1 mld zł, co oznacza wzrost o ponad 97 proc. w stosunku do lutego 2021 r. Na poprawę wyniku wpłynął przede wszystkim wzrost stóp procentowych.

Jak zmusić banki do podwyżki oprocentowania?

Jak mówił „Wyborczej” z kolei Konrad Raczkowski, w latach 2015-16 podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów, należałoby uzależnić wielkość rezerwy obowiązkowej banków od urealnienia oprocentowania depozytów.

– Może to być mechanizm warunkowy z nowym progiem rezerwy obowiązkowej, np. 5 proc., ale jedynie dla tych banków i instytucji finansowych, które nie zdecydują się na urealnienie oprocentowania depozytów – mówił Raczkowski.

Zmiana reguł rezerwy obowiązkowej dałaby przede wszystkim inny skutek: likwidowanie szoku inflacyjnego, stymulowanego wojną i wtórną próbą wywołania kryzysu żywnościowego na świecie. I byłoby to dobrą alternatywą dla kolejnych podwyżek stóp procentowych.

– W warunkach realnej, a nie książkowej ekonomii, nieuwzględniającej szoków pandemii i wojny ustawicznie głównej stopy procentowej na poziomie 4,5 proc. wydaje się optymalne w tym momencie. Faktem jest, że NBP i Rada Polityki Pieniężnej wciąż mają bufor podwyżki stóp procentowych do 6-7 proc., jednak przekadałoby się to wprost na niewspółmiernie większe obciążenia zadłużonych firm i gospodarstw domowych. Dalsza podwyżka stóp procentowych może być po prostu kontrproduktywna, a jej skutki mogłyby być odwrotne do zamierzonych – mówił „Wyborczej”.

Biorąc pod uwagę podatek Belki, bankowcy musieliby zaproponować klientom kilkanaście procent, żeby pieniądze oszczędzających przez szalejącą inflację nie traciły na wartości

The image features the TOK FM logo in the top left corner, consisting of the text 'TOK' in a white speech bubble and 'FM' in a white box. To the right of the logo, the text 'Pierwsze Radio Informacyjne' is written in white. The background is a red gradient with a faint image of the Polish flag and the European Union flag. The text 'MÓWIMY O TYM, CO WAŻNE.' is written in large, white, bold letters, with 'MÓWIMY' underlined. At the bottom, the text 'Słuchaj codziennie na tokfm.pl lub w aplikacji mobilnej TOK FM' is written in white.

Analiza wyborcza

Zaprzepaszczona szansa A.D. 2019

Gdyby w 2019 r. KO, SLD i PSL utworzyły koalicję, PiS straciłby władzę. Czy w najbliższych wyborach opozycja powtórzy ten błąd?

Machowski

Uczenie się na błędach to wciąż niedoceniana przez polityków metoda edukacji. A warto, by pod tym kątem spojrzeli na przegrane wybory do Sejmu z 2019 r. Zwłaszcza ci, którzy dzisiaj dezawuuują pomysł powołania cztero-partyjnej koalicji. Bo w 2019 r. opozycja miała szansę wybory wygrać. Ale był jeden warunek – musiałaby się zjednoczyć.

Sprawdźmy, jak wyglądałyby wyniki wyborów w 2019 r., gdyby głosy oddane na KO, SLD i PSL potraktować jako głosy oddane na koalicję tych trzech partii. Takie podejście może się spotkać z zarzutem, że w sytuacji realnej koalicji elektoraty tworzących ją ugrupowań w tak prosty sposób się nie sumują, bo część wyborców może popierać swoją partię, ale nie koalicję, którą ona współtworzy. Tyle że badania (Ipsos z 10-12.02.2021 i IBRiS z 21.01.2022) oraz wybory europejskie, w których Koalicja Europejska miała większe poparcie (38,5 proc.) niż to, na jakie łącznie mogłyby liczyć tworzące ją partie przy starcie oddzielnym (ok. 30 proc.), wskazują, że wspólna lista potencjalnych wyborców nie gubi. A to symulację opartą na zsumowaniu poparcia KO, SLD i PSL w jakiejś mierze legitymizuje.

Niechętna jednej liście Polska 2050, sceptyczna co do rzetelności przeliczania ogólnopolskich sondaży na mandaty (na co pozwala model matematyczny systemu d'Hondta, a co Polska 2050 zdaje się kwestionować), postuluje badania na poziomie każdego okręgu wyborczego, gdyż – jak sugerują jej eksperci – dopiero takie badania mogą pokazać, czy idea jednej listy się sprawdza, czy też nie. Pochylając się nad wynikami wyborów z 2019 r., mamy to, o co chodzi ekspertom P2050: wyliczenia „okręg po okręgu” – i to oparte na najtwardszych danych, bo na opublikowanych przez PKW preferencjach wyborczych 18,5 mln naszych obywateli, którzy w tamtych wyborach oddali ważne głosy.

Symulacja „jedna lista zamiast trzech list” – gdy opieramy ją na danych PKW – nie tylko pokazuje, jaki zysk mandatowy przyniosłaby wspólna lista w stosunku do startu oddzielnego, lecz także pozwala precyzyjnie

wyliczyć, jaki udział w tym wspólnym mandatowym dorobku mogłyby mieć tworzące jedną listę KO, SLD i PSL (bo PKW podaje liczby głosów oddanych na poszczególnych kandydatów reprezentujących te partie).

Spójrzmy zatem na wyniki symulacji (tabela). Wspólna lista KO, SLD i PSL mogłaby zdobyć 232 mandaty (o 19, tj. o 8,9 proc., więcej niż przy starcie oddzielnym), a tym samym pozbawić PiS władzy. Dodatkowe mandaty otrzymałyby wszystkie trzy partie tworzące koalicję: KO zyskałaby dwa mandaty (o 1,5 proc. więcej), SLD – 13 (o 26,6 proc. więcej), a PSL – cztery (o 13,3 proc. więcej). Wśród 8,96 mln wyborców (a tyłu łącznie poparło KO, SLD i PSL) na KO głosowało 56,5 proc., na SLD – 25,9 proc., a na PSL – 17,6 proc. Tym wartościom mniej więcej odpowiada podział wspólnej puli 232 mandatów między kandydatów tych partii: KO przypadłoby 136 mandatów (58,6 proc. z 232), SLD – 62 (26,7 proc.), a PSL – 34 (14,7 proc.).

Symulacja wskazuje też na niespodzianki, którymi wspólna lista może nas zaskoczyć. Ciekawy pod tym względem jest okręg 19 obejmujący m.st. Warszawę. Przy starcie oddzielnym KO, SLD i PSL zdobyły w Warszawie 13 mandatów, w tym KO – dziewięć mandatów. Wspólna lista daje 14 mandatów, ale KO otrzymuje ich tylko siedem. Wyjaśnienie tej przykry dla KO straty jest bardzo proste: oto liderka listy KO Małgorzata Kidawa-Błońska uzyskała znakomity wynik – 416 tys. głosów (72 proc. wszystkich głosów oddanych w Warszawie na KO), ale przez to relatywnie mało głosów zdobyli pozostali kandydaci KO. I gdy ich wyniki porównamy w ramach wspólnej listy z wynikami kandydatów SLD i PSL, okazuje się, że ósmy i dziewiąty wynik z listy KO są niższe niż wyniki dwóch kandydatów SLD i jednego kandydata PSL, którzy przy oddzielnym listach mandatu by nie dostali.

Ale dominacja lidera listy nad resztą kandydatów może też przynieść efekt odwrotny. Spójrzmy na Nowy Sącz, gdzie w wariantcie trzech list PSL zdobywa jeden mandat – jednak w ramach koalicji słabsze SLD, dzięki bardzo dobremu wynikowi swojego lide-

Podział mandatów w wyborach w 2019 r.

Porównanie podziału rzeczywistego z symulacją podziału dla wariantu z koalicją wyborczą utworzoną przez KO, SLD i PSL

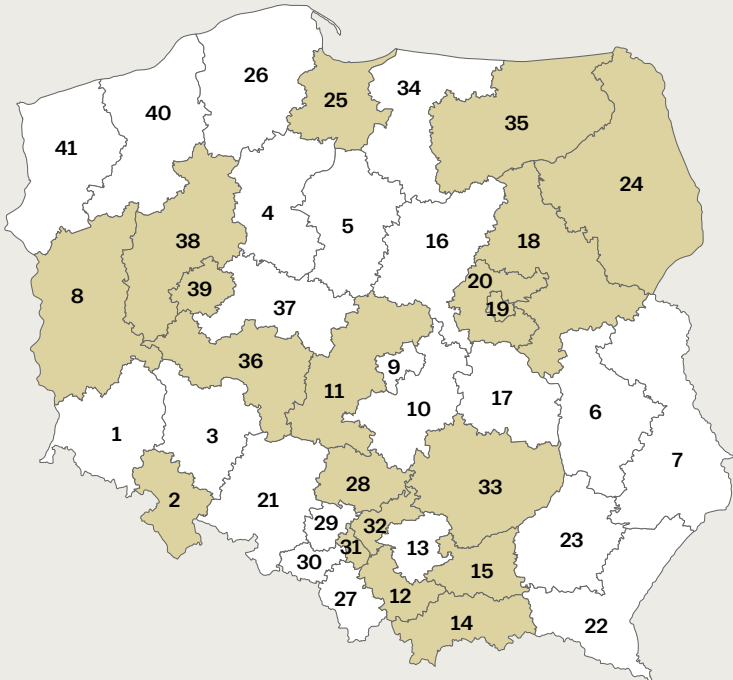
Okręgi, w których koalicja KO, SLD i PSL zdobyłaby dodatkowy mandat

Okręg wyborczy	KO, SLD i PSL na trzech listach							KO, SLD i PSL na jednej liście						
	Opozycja łącznie				Prawica łącznie			Opozycja łącznie				Prawica łącznie		
	KO	SLD	PSL	↓	PiS	Konf.	↓	KO	SLD	PSL	↓	PiS	Konf.	↓
1 Legnica	3	2	1	6	6	0	6	5	1	0	6	6	0	6
2 Wałbrzych	3	1	0	4	4	0	4	3	1	1	5	3	0	3
3 Wrocław	5	2	1	8	5	1	6	5	2	1	8	5	1	6
4 Bydgoszcz	4	2	1	7	5	0	5	4	2	1	7	5	0	5
5 Toruń	4	2	1	7	6	0	6	4	2	1	7	6	0	6
6 Lublin	3	1	1	5	9	1	10	2	2	1	5	9	1	10
7 Chełm	2	1	1	4	8	0	8	2	1	1	4	8	0	8
8 Zielona Góra	4	2	1	7	4	1	5	4	2	2	8	4	0	4
9 Łódź	4	2	0	6	4	0	4	4	2	0	6	4	0	4
10 Piotrków Tryb.	1	1	1	3	6	0	6	1	1	1	3	6	0	6
11 Sieradz	3	1	1	5	7	0	7	3	2	1	6	6	0	6
12 Chrzanów	2	0	0	2	6	0	6	2	1	0	3	5	0	5
13 Kraków	4	2	1	7	6	1	7	4	2	1	7	6	1	7
14 Nowy Sącz	1	0	1	2	8	0	8	2	1	0	3	7	0	7
15 Tarnów	1	0	1	2	7	0	7	2	0	1	3	6	0	6
16 Płock	2	1	1	4	6	0	6	2	1	1	4	6	0	6
17 Radom	2	0	1	3	6	0	6	1	1	1	3	6	0	6
18 Siedlce	2	0	1	3	9	0	9	2	1	1	4	8	0	8
19 Warszawa-1	9	3	1	13	6	1	7	7	5	2	14	5	1	6
20 Warszawa-2	4	1	1	6	6	0	6	5	2	0	7	5	0	5
21 Opole *)	4	1	1	6	5	0	5	3	2	1	6	5	0	5
22 Krosno	2	0	1	3	8	0	8	2	0	1	3	8	0	8
23 Rzeszów	2	1	1	4	10	1	11	2	1	1	4	10	1	11
24 Białystok	3	1	1	5	8	1	9	4	1	1	6	7	1	8
25 Gdańsk	6	1	0	7	4	1	5	5	2	1	8	4	0	4
26 Gdynia	5	2	1	8	5	1	6	6	1	1	8	5	1	6
27 Bielsko-Biała	3	1	0	4	5	0	5	2	1	1	4	5	0	5
28 Częstochowa	2	1	0	3	4	0	4	2	1	1	4	3	0	3
29 Gliwice	4	1	0	5	4	0	4	3	1	1	5	4	0	4
30 Rybnik	3	1	0	4	5	0	5	3	1	0	4	5	0	5
31 Katowice	5	1	0	6	5	1	6	5	2	0	7	5	0	5
32 Sosnowiec	3	2	0	5	4	0	4	4	2	0	6	3	0	3
33 Kielce	3	1	1	5	10	1	11	3	1	2	6	9	1	10
34 Elbląg	2	1	1	4	4	0	4	2	1	1	4	4	0	4
35 Olsztyn	3	1	1	5	5	0	5	4	1	1	6	4	0	4
36 Kalisz	3	2	1	6	6	0	6	4	2	1	7	5	0	5
37 Konin	2	1	1	4	5	0	5	2	2	0	4	5	0	5
38 Piła	3	1	1	5	4	0	4	3	2	1	6	3	0	3
39 Poznań	5	2	0	7	3	0	3	5	2	1	8	2	0	2
40 Koszalin	3	1	1	5	3	0	3	4	1	0	5	3	0	3
41 Szczecin	5	2	1	8	4	0	4	4	3	1	8	4	0	4
Kraj (+19)	134	49	30	213	235	11	246	136	62	34	232	219	8	227
Bilans (jedna lista w porównaniu z trzema listami):								+2	+13	+4	+19	-16	-3	-19

*) w okręgu opolskim rozdziela się 12 mandatów. W tabeli nie ujęto 1 mandatu, który w obydwu wariantach uzyskuje Mniejszość Niemiecka

Mapa zaprzepaszczonej szansy

Okręgi, w których opozycja demokratyczna, tworząc w wyborach 2019 r. koalicję wyborczą, zdobyłaby dodatkowy mandat. Numery okręgów zgodne z numeracją w tabeli.



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: PKW. OBLICZENIA: ANDRZEJ MACHOWSKI

Odróbnym lekcję błędów popełnionych w wyborach z 2019 r. Obecne sondaże wskazują, że łączne poparcie dla KO, P2050, SLD i PSL w stosunku do poparcia dla prawicy (PiS i Konfederacja) to mniej więcej 54 do 46. W ramach systemu d'Hondta, przy takiej proporcji, opozycja demokratyczna – gdy startuje na czterech listach, a prawica na dwóch – wybory w liczbie mandatów przegrywa. Czteropartyjna koalicja daje gwarancję zdecydowanego zwycięstwa. Trudno o czytelniejszą alternatywę.

ra (68 proc. głosów oddanych na SLD), zdobywa mandat kosztem PSL. Jakkolwiek takie przypadki w skali kraju się niwelują, w ramach okręgów wyborczych mogą budzić napięcia i dlatego warto ich uniknąć. Na szczęście istnieje prosty algorytm takiego ułożenia w okręgach wyborczych wspólnych list opozycji demokratycznej, że prawdopodobieństwo wystąpienia podobnych sytuacji spada praktycznie do zera.

Przyjrzyjmy się jeszcze okręgom wyborczym, w których wspólna lista KO, SLD i PSL przyniosłaby dodatkowy mandat (mapa). Są wśród nich zarówno bastiony PiS (Nowy Sącz, Siedlce), jak i bastiony opozycji (Gdańsk, Poznań), są okręgi zarówno bardzo małe (Częstochowa, Wałbrzych), jak i bardzo duże (Warszawa, Kielce) – trudno doszukać się tu jakiejś logiki. Bo też istotę zmiany, jaką przyniosłaby w 2019 r. wspólna lista KO, SLD i PSL, należy wiązać nie z konkretnymi okręgami, w których koalicja mogłaby uzyskać dodatkowy mandat (to w dużej mierze jest kwestią przypadku), ale z liczbą dodatkowych mandatów w skali kraju. A ten bonus – ok. 20 mandatów (przy redukcji trzech list do jednej) – wynika z modelu matematycznego systemu d’Hondta. Analiza wyników okręg po okręgu jedynie to potwierdza. Pokazuje też, że na wspólnej liście skorzystałyby wszystkie trzy partie, a nie tylko opozycja demokratyczna jako całość.

Odróbnym lekcję błędów popełnionych w wyborach z 2019 r. Obecne sondaże wskazują, że łączne poparcie dla KO, P2050, SLD i PSL w stosunku do poparcia dla prawicy (PiS i Konfederacja) to mniej więcej 54 do 46. W ramach systemu d’Hondta, przy takiej proporcji, opozycja demokratyczna – gdy startuje na czterech listach, a prawica na dwóch – wybory w liczbie mandatów przegrywa. Czeropartyjna koalicja daje gwarancję zdecydowanego zwycięstwa. Trudno o czytelniejszą alternatywę. ●

Andrzej Machowski

Gomułka

Autor jest głównym ekonomistą Business Centre Club, członkiem korespondentem PAN.

Inflacja

Jak uniknąć stagflacji

Podwyższona inflacja występowała w Polsce i na świecie jeszcze przed pandemią koronawirusa. Spowodowana była silnym wzrostem światowego indeksu cen żywności w latach 2015-18. W odpowiedzi na kryzys zdrowotny i globalną recesję gospodarczą w roku 2020, wywołaną głównie ograniczeniami administracyjnymi nakierowanymi na zmniejszenie liczby ofiar pandemii, nastąpiło silne poluzowanie polityk monetarnej i fiskalnej. W rezultacie skala recesji została ograniczona. Pomimo wojny w Ukrainie wzrost PKB przyspieszył w pierwszym kwartale 2022 r. prawie do 8 proc. Wynagrodzenia rosły w dwucyfrowym tempie. Zatrudnienie spadło nieznacznie. Ale w latach 2021 i 2022 wraz z odbiciem gospodarczym miał i nadal ma miejsce silny wzrost cen konsumpcyjnych, w tempie ok. 13 proc. rok do roku, i jeszcze szybszy wzrost cen produkcyjnych, w tempie ok. 20 proc. rok do roku.

Wielkość inflacji, chociaż dotyczy praktycznie wszystkich krajów świata, jest jednak mocno zróżnicowana między krajami UE – od ok. 5 proc. we Francji do blisko 15 proc. w Estonii. W przypadku Polski zaczyna niepokoić ryzyko stagflacji, czyli możliwość równocześnie wysokiej i długotrwałej inflacji oraz stagnacji, czyli niskiej aktywności gospodarczej, z rosnącą liczbą bankructw i rosnącym bezrobociem.

Istotnym problemem w Polsce jest relatywnie wysoki poziom inflacji bazowej (wzrost cen innych niż żywności i energii), która w Europie Zachodniej pozostaje pod kontrolą. O ile w przypadku UE27 inflacja bazowa w marcu 2022 r. osiągnęła poziom 3,6 proc. rok do roku, o tyle w przypadku Polski osiągnęła 6,9 proc. Rząd bezpośrednio oraz poprzez Bank Gospodarstwa Krajowego i Polski Fundusz Rozwoju, za zgodą i z pomocą NBP, wpompował do gospodarki ok. 250 mld zł, czyli ok. 10 proc. ogólnej podaży pieniądza. Tak znaczący dodruk pieniądza doprowadził do zwiększenia jego ilości w obiegu, a w re-

zultacie niemal natychmiast do silnego wzmocnienia inflacji i oczekiwań inflacyjnych.

Drugim faktem wyróżniającym Polskę negatywnie jest to, że będąc poza strefą euro, jest narażona na znacznie wyższe wzrosty rentowności obligacji niż kraje w tej strefie, a także duże i rozwinięte gospodarki na świecie. Takie duże wzrosty miały miejsce w ostatnich kilkunastu miesiącach. W rezultacie silnie wzrósł bieżący i przewidywany w najbliższych latach koszt obsługi długu publicznego, od ok. 1,2 proc. PKB w roku 2019 do blisko 2 proc. PKB w roku 2022 oraz prognozowanego przez MF na rok 2024 poziomu prawie 3 proc. PKB.

Trzecim kluczowym faktem jest umiarkowana wiarygodność polityki gospodarczej Polski – zarówno fiskalnej, jak i monetarnej – co spowodowało osłabienie złotego wobec głównych walut światowych – dolara ok. 20 proc. i euro blisko 10 proc. W rezultacie dodatkowy wzrost cen dóbr importowanych wyniósł prawie 15 proc.

Program antyinflacyjny w gospodarce i zarazem stabilizacyjny w obszarze finansów publicznych powinien dać odpowiedź na cztery pytania:

- 1. jak teraz zatrzymać dalszy wzrost inflacji,
- 2. jak w ciągu najbliższych kilku lat sprowadzić inflację CPI do ustawowego celu NBP 2,5 proc. rocznie,
- 3. jak obniżyć teraz rentowność skarbowych papierów wartościowych i zatrzymać wzrost kosztu obsługi długu publicznego,
- 4. jak w najbliższych kilku latach obniżyć koszt obsługi długu publicznego.

Lista zaleceń:

Może najważniejszym i oczywistym zaleceniem jest zaprzestanie niezwykle kosztownej dla Polski wojny prawnej z UE przez uznanie dotychczasowych i honorowanie przyszłych wyroków TSUE, tak aby rozpocząć już w najbliższych pięciu-sześciu miesiącach realizację Krajowego Planu Odbudowy. Uznawanie wyroków TS usuwanie wątpliwości inwestorów oraz obywateli dotyczące członkostwa

Polski w UE oraz niezależności od polityków polskiego sądownictwa.

W obszarze polityki monetarnej NBP należy kontynuować podnoszenie stopy referencyjnej (bazowej) NBP, przynajmniej do oczekiwanego przez rynek poziomu 7,5 proc., oraz zaprzestać finansowania Banku Gospodarstwa Krajowego, Polskiego Funduszu Rozwoju oraz Krajowego Funduszu Dróg poprzez dodruk pieniądza.

Działania 1 i 2, poprzez wzmocnienie złotego wobec dolara i euro, zmniejszą presję inflacyjną, z czasem także inflację. Zmniejszą także koszt obsługi długu publicznego.

Aby inflacja spadła do 2,5 proc., statutowego celu NBP, i aby utrzymała się w pobliżu tego poziomu, tempo wzrostu średniej płacy musi spaść z ok. 10 proc. rocznie teraz do blisko 5 proc. Zwiększona podaż pracowników z Ukrainy oraz eliminacja podatku od wynagrodzeń za pracę dla osób powyżej wieku emerytalnego pomoże w realizacji tego celu.

Zwiększona pomoc publiczna jest potrzebna, ale powinna być selektywna i przejściowa, finansowana bez wzrostu deficytu budżetowego, przeznaczona dla bezrobotnych, części pracowników sektora publicznego oraz dla części kredytobiorców, finansowana przez kredytodawców.

NBP powinien wprowadzić do publicznego obiegu emisję atrakcyjnie oprocentowanych bonów NBP skierowanych do klientów detalicznych, które mogą stać się instrumentem wymuszającym wzrost stóp procentowych od depozytów bankowych, obecnie bardzo niskich.

W celu stabilizowania cen energii elektrycznej potrzebny jest też zwiększony program stymulacji inwestycji prywatnych w kierunku zgodnym z europejskim Zielonym Ładem, m.in. budowy wiatraków i połączeń prywatnych producentów energii elektrycznej z krajową siecią energetyczną. Potrzebny jest także program publicznej stymulacji oszczędności gospodarstw domowych na prywatne cele długoterminowe, takie jak: mieszkania, szkoły, zdrowie i emerytury. ●

Stanisław Gomułka

W Sądzie Rejonowym Poznań-Grunwald i Jeżyce w Poznaniu
w Wydziale IX Cywilnym
pod sygnaturą akt IX Ns 700/20 toczy się postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. o
stwierdzenie nabycia spadku
po Waldemarze Mikołajczaku, s. Edmunda Pawła i Stanisławy, ur. 7 marca 1961 r. w Kaliszu, zm. 13 stycznia 2017 r. w Poznaniu i tam ostatnio stale zamieszkałym.
Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Waldemara Mikołajczaka, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym wypadku mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE 34177281

Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny Nr 1 w Lublinie,
ul. Stanisława Staszica 16, 20-081 Lublin,

OGŁASZA PISEMNY PRZETARG NIEOGRANICZONY na sprzedaż nieruchomości położonej w Lublinie

oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 42, obr. 0036 Śródmieście (identyfikator działki 066301_1.0036.AR_2.42), o powierzchni 0,0730 ha, zabudowanej obiektami budowlanymi.

Cena wywoławcza nieruchomości:
2 000 000,00 zł.
Wadium: **60 000,00 zł.**

Pełna treść ogłoszenia oraz regulamin przetargu dostępny na głównej stronie internetowej jednostki www.spsk1.lublin.pl.

1RP
OGŁOSZENIE 34174221

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA BURMISTRZ MIASTA RADZIONKÓW OGŁASZA
DRUGI PRZETARG USTNY NIEOGRANICZONY NA SPRZEDAŻ NIEZABUDOWANEJ DZIAŁKI GRUNTU POŁOŻONEJ PRZY UL. KSIĘŻOGÓRSKIEJ W RADZIONKOWIE WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE – POWIAT TARNOGÓRSKI

Do sprzedaży przeznaczona jest działka gruntu nr 296/10 a.m. 18 o powierzchni 16853 m² stanowiąca własność Gminy Radzionków, położona w Radzionkowie przy ul. Księżogórskiej, objęta księgą wieczystą nr KW GL1T/00037536/3 Sądu Rejonowego w Tarnowskich Górach.

Zbycie następuje wraz z ustanowieniem odpłatnej służebności na obszarze o długości 130m i całej szerokości działki nr 295/10 objętej księgą wieczystą GL1T/00037536/3 Sądu Rejonowego w Tarnowskich Górach zapewniającej dojazd do ul.Księżogórskiej. Wartość służebności wynosi 14 288,00zł. Podatek VAT zostanie ustalony na podstawie odrębnych przepisów.

W dziale III księgi wieczystej widnieje wpis służebności gruntowej polegającej na prawie przejazdu i przechodu przez działkę nr 295/10 w granicach pasa gruntu o szerokości 4,00m na długości 129,00m i przebiegu oznaczonym kolorem czerwonym na mapie stanowiącej załącznik do aktu zgodnie z treścią umowy oddania gruntu w użytkowanie wieczyste i ustanowienie służebności gruntowej z dnia 16.02.2017r. Rep."A" nr 1037/2017 zawartej przed notariuszem K.Niedźwiedź w Kancelarii Notarialnej w Radzionkowie na rzecz każdorazowego właściciela działki nr 293/10 (KW.GL1T/00100992/0) nie dotyczy zbywanej działki.

Forma zbycia: sprzedaż w drodze przetargu ustnego nieograniczonego.

Cena wywoławcza nieruchomości wynosi: 2 200 000,00 zł (słownie: dwa miliony dwieście tysięcy złotych i 00/100).

Sprzedaż zwolniona jest z podatku VAT na podstawie art. 43 ust.1 pkt 10a w związku z art. 7 ustawy z dnia 11 marca 2004 roku o podatku od towarów i usług (t.j.Dz. U. z 2021r., poz.685 ze zm.).

Przetarg odbędzie się **15 lipca 2022 roku o godz. 09:30** w Urzędzie Miasta Radzionków przy ul. Męczenników Oświęcimia 42 – pokój nr 8.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wniesienie wadium w wysokości **200 000,00 złotych do dnia 11 lipca 2022 roku**, za co uważa się odnotowanie w tym dniu środków na rachunku Urzędu Miasta Radzionków.

Pełną treść ogłoszenia o przetargu wywieszono na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Radzionków przy ul. Męczenników Oświęcimia 42 w Radzionkowie, zamieszczono na stronach internetowych urzędu i w Biuletynie Informacji Publicznej – w Menu Przedmiotowym NIERUCHOMOŚCI oraz podano do publicznej wiadomości w sposób zwyczajowo przyjęty w danej miejscowości, tj. na tablicy ogłoszeń głównej oraz na tablicach informacyjnych znajdujących się na terenie miasta, a także na stronach internetowych urzędu.

Wszelkich informacji na temat przetargu udziela Referat Mienia i Zagospodarowania Przestrzennego Urzędu Miasta Radzionków pokój nr 14 tel. Nr 32 388-71-21, 388-71-23, w okresie od ukazania się ogłoszenia do upływu terminu wnoszenia wadium.

OGŁOSZENIE 34177410

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA BURMISTRZ MIASTA RADZIONKÓW OGŁASZA
DRUGI PRZETARG USTNY NIEOGRANICZONY NA SPRZEDAŻ NIEZABUDOWANYCH DZIAŁEK GRUNTU POŁOŻONYCH PRZY UL. KSIĘŻOGÓRSKIEJ W RADZIONKOWIE WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE – POWIAT TARNOGÓRSKI

Do sprzedaży przeznaczone są niezabudowane działki nr 297/10 a.m. 18 o powierzchni 14813m² z księgi wieczystej KW Nr GL1T/00037536/3 prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Tarnowskich Górach, nr jednostki rejestrowej G. 5259 oraz działka nr 292/10 a.m. 18 o powierzchni 191m² z księgi wieczystej KW Nr GL1T/00053520/6 prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Tarnowskich Górach nr jednostki rejestrowej G.3937.

Zbycie następuje wraz z ustanowieniem odpłatnej służebności na całej długości i szerokości działki nr 295/10 objętej księgą wieczystą GL1T/00037536/3 Sądu Rejonowego w Tarnowskich Górach zapewniającej dojazd do ul.Księżogórskiej. **Wartość służebności wynosi 26 345,00zł.** Podatek VAT zostanie ustalony na podstawie odrębnych przepisów.

W dziale III księgi wieczystej widnieje wpis służebności gruntowej polegającej na prawie przejazdu i przechodu przez działkę nr 295/10 w granicach pasa gruntu o szerokości 4,00m na długości 129,00m i przebiegu oznaczonym kolorem czerwonym na mapie stanowiącej załącznik do aktu zgodnie z treścią umowy oddania gruntu w użytkowanie wieczyste i ustanowienie służebności gruntowej z dnia 16.02.2017r. Rep."A" nr 1037/2017 zawartej przed notariuszem K.Niedźwiedź w Kancelarii Notarialnej w Radzionkowie na rzecz każdorazowego właściciela działki nr 293/10 (KW.GL1T/00100992/0) nie dotyczy zbywanej działki.

Forma zbycia: sprzedaż w drodze przetargu ustnego nieograniczonego.

Cena wywoławcza nieruchomości wynosi: 2 000 000,00 zł (słownie: dwa miliony złotych i 00/100).

Sprzedaż zwolniona jest z podatku VAT na podstawie art. 43 ust.1 pkt 10a w związku z art. 7 ustawy z dnia 11 marca 2004 roku o podatku od towarów i usług (t.j.Dz. U. z 2021r., poz.685 ze zm.).

Przetarg odbędzie się **15 lipca 2022 roku o godz. 09:00** w Urzędzie Miasta Radzionków przy ul. Męczenników Oświęcimia 42 – pokój nr 8.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wniesienie wadium w wysokości **200 000,00 złotych do dnia 11 lipca 2022 roku**, za co uważa się odnotowanie w tym dniu środków na rachunku Urzędu Miasta Radzionków.

Pełną treść ogłoszenia o przetargu wywieszono na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Radzionków przy ul. Męczenników Oświęcimia 42 w Radzionkowie, zamieszczono na stronach internetowych urzędu i w Biuletynie Informacji Publicznej – w Menu Przedmiotowym NIERUCHOMOŚCI oraz podano do publicznej wiadomości w sposób zwyczajowo przyjęty w danej miejscowości, tj. na tablicy ogłoszeń głównej oraz na tablicach informacyjnych znajdujących się na terenie miasta, a także na stronach internetowych urzędu.

Wszelkich informacji na temat przetargu udziela Referat Mienia i Zagospodarowania Przestrzennego Urzędu Miasta Radzionków pokój nr 14 tel. Nr 32 388-71-21, 388-71-23, w okresie od ukazania się ogłoszenia do upływu terminu wnoszenia wadium.

OGŁOSZENIE 34177409

eprasa.pl 0fe8fd7a92

Rozmowa z byłym dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi

NIE WIEM,
PO CO MNIE
UPOKORZONO

– Jeśli premier Gliński uważa, że Muzeum Sztuki ulegało naciskom światowych lewico-liberalnych ośrodków, to niewiele wie na ten temat – mówi odwołany dyrektor łódzkiego muzeum.

ROZMOWA Z
JAROSŁAWEM SUCHANEM*
byłym dyrektorem Muzeum Sztuki
w Łodzi

JĘDRZEJ SŁODKOWSKI: Jak na członka mafii, którego dopadła wreszcie sprawiedliwość, wygląda pan całkiem nieźle...

JAROSŁAW SUCHAN: Nie czuję się nieźle.

Wie pan, jaką mafię mam na myśli?
– „Mafię bardzo kulturalną”, oczywiście.

Jej istnienie ogłosiła w 2015 r. w „Rzeczpospolitej” krytyczka Monika Małkowska.

– Tak, znam tę opowieść o grupie osób, które rządzą polską sztuką, promują jednych artystów kosztem innych, kierując się, rzecz jasna, tylko i wyłącznie własnymi podejrzanymi interesami.

W dyskusjach o rzekomym układzie rządzącym polską sztuką oprócz Moniki Małkowskiej czy Piotra Bernatowicza, którego minister Gliński uczynił dyrektorem CSW Zamek Ujazdowski, brał także udział pana następcą Andrzej Biernacki. A pan był wskazywany jako jeden ze współtwórców tego układu. Zna pan Andrzeja Biernackiego?

– Uczestniczyliśmy pewnie kilka razy w tych samych publicznych wydarzeniach.

„Porobiło się też tak, że dzieła sztuki i wystawy obowiązkowo są dzisiaj o rewolucjach, holocaustach, wykluczonych, mniejszościach etc. etc., gdzie myli się, w sposób najzupełniej oczywisty, TEMAT Z TREŚCIĄ. Dlatego z ulgą obejrzałbym jakąś skromną wystawkę z glutem malarskiego mięcha, najchętniej o dupie Maryni”. Wie pan, kto to napisał?
– Nie mam pojęcia.

Właśnie Andrzej Biernacki. W 2008 r., kiedy w waszym środowisku był jeszcze znany głównie pod nickiem Bezan – jako internetowy troll z blogów poświęconych sztuce.

– Takie stwierdzenia są wyrazem albo złej woli, albo braku orientacji. Ow-

szem, na wystawach sztuki współczesnej wątki te są jak najbardziej obecne i należałoby się dziwić, gdyby było inaczej. Artyści nie żyją na samotnej wyspie, nie są odizolowani od tego, czym żyje społeczeństwo, i – co naturalne – reagują na sprawy, które dzisiaj sfera opinia publiczna uznaje za ważne. Z drugiej strony wystarczy przejrzyć programy czołowych instytucji – także tych kierowanych przez rzekomą „mafię” – by dostrzec, że projekty w nich realizowane dotyczą znacznie szerszego tematycznego spektrum. Chociaż akurat wystaw o „dupie Maryni” pewnie się w nich nie znajdzie.

Minister Gliński chyba nie żyje tymi sprawami. „Te różne wymysły, związane z tym, co nazywam kryzysem kultury globalnej, często są obecne także w funkcjonowaniu instytucji sztuki na świecie i w sposób bardzo naiwny są naśladowane w Polsce. Biernacki to przez lata krytykował i odwoływał się do suwerennego myślenia o sztuce. Właśnie do wolności artystycznej, a nie do uzależnienia się od różnych środowisk czy nacisków instytucji światowych, gdzie te nowinki ideologiczne, głównie liberalno-lewicowe, były preferowane, wręcz forsowane, a niekiedy – za pomocą poprawnności politycznej – wymuszane”.

– Kontekst sytuacyjny tej wypowiedzi każe wnioskować, że jedną z tych niesuwerennych instytucji naiwnie naśladowujących światowe lewicowo-liberalne ośrodki czy wręcz ulegających ich naciskom było do tej pory Muzeum Sztuki. Jeśli taka jest opinia pana premiera, to mogę tylko z przykrością stwierdzić, że niewiele on wie na temat łódzkiego muzeum i tego, co się w nim w ostatnich kilkunastu latach działo. Jest to tym bardziej smutne, że pan premier regularnie bywa w Łodzi i nawiedza różne wydarzenia kulturalne. Do muzeum jednak, z tego co wiem, raczej nie zagląda. W ciągu siedmiu lat swoich rządów był raptem raz z oficjalną wizytą.

Muzeum Sztuki nie może się równać z największymi muzeami światowymi – ma w porównaniu z nimi mikroskopijny budżet, dużo skromniejszą kolekcję, no i nie znajduje się w Nowym Jorku ani w Londynie, tylko w Łodzi. Ale jeśli są w Polsce insty-

tucje, którym udało się wprowadzić do międzynarodowego obiegu coś własnego, to jedną z tych niewielu było właśnie nasze muzeum. Włączenie twórczości Katarzyny Kobro do stałej ekspozycji nowojorskiego Museum of Modern Art czy zorganizowanie w ostatnich latach wystaw Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego w Centre Pompidou w Paryżu, Museo Reina Sofia w Madrycie, Gemeentemuseum w Hadze sprawiły, że umocniła się świadomość znaczenia polskiej awangardy dla światowej historii sztuki. Nagrodzona przez brazylijską krytykę wystawa Tadeusza Kantora, którą zorganizowaliśmy w São Paulo wspólnie z Instytutem Adama Mickiewicza, ożywiła zainteresowanie jego dorobkiem zarówno wśród tamtejszych badaczy, jak i artystów. Wystawa polskiej sztuki współczesnej, którą zrobiliśmy w pekińskim National Art Museum of China, okazała się jedną z najlepiej frekwentowanych ekspozycji w tej instytucji – chyba nie dlatego, że odbierano ją jako propozycję wtórną czy naśladowczą.

Nie chodzi tu jednak tylko o promowanie polskiej sztuki za granicą. Muzeum jest również cenione na świecie jako miejsce, w którym proponuje się oryginalne – suwerenne, jak powiedziałby pan premier – podejście do dziedzictwa awangardy. Zakończony właśnie projekt „Awangardowe muzeum” ma charakter wręcz pionierski: podważa utrwalone przekonanie, że awangardiści chcieli wyłącznie burzyć muzea. Przy okazji pokazuje w nowy sposób historię narodzin idei muzeum sztuki nowoczesnej, dowodząc, że ważne miejsce w tej historii zajmuje również Łódź.

W MoMA, najważniejszym muzeum sztuki nowoczesnej świata, w marcu zakończyła się czasowa wystawa „Katarzyna Kobro, Shaping Space”, obudowana wokół jej rzeźby dziełami gigantów, z Malewiczem, Rodcenką i El Lissitzkym włącznie.

– To nie była czasowa wystawa, ale rearanżacja wystawy stałej, co ma jeszcze większe znaczenie. Kolejnym krokiem miało być wprowadzenie do MoMA dzieł Władysława Strzemińskiego.

Artyści nie żyją na samotnej wyspie, nie są odizolowani od tego, czym żyje społeczeństwo, i – co naturalne – reagują na sprawy, które dzisiejsza opinia publiczna uznaje za ważne



FOT. TOMASZ STANCAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bo nie wystarczy zrobienie jednej, dwóch wystaw. Wzmacnianie obecności polskiej sztuki w światowym kanonie wymaga nieustającej pracy na wielu płaszczyznach: organizowania konferencji naukowych, inicjowania kolejnych publikacji, zapraszania międzynarodowych badaczy i kuratorów. My to robiliśmy, były też w planach kolejne działania. Jeszcze w tym roku jedno z najważniejszych wydawnictw naukowych MIT Press wraz z globalną platformą e-flux miały wspólnie wydać „Teorię widzenia” Strzemińskiego, bo-
daj najważniejsze teoretyczne dzieło polskiego modernizmu. Zaczęliśmy też rozmowy o wystawie Kobro i Strzemińskiego w Muzeum Sztuki Współczesnej w Salonikach. Ale myśleliśmy również o innych artystach, na przykład o praktycznie nieznannej poza Polską Marii Pinińskiej-Bereś – pokazaniem jej twórczości zainteresowały się brytyjska Henry Moore Foundation i szwajcarskie Migros Museum.

Andrzej Biernacki w pierwszej wypowiedzi dla mediów ogłosił: współpraca z Tate i MoMA – tak, ale na naszych warunkach. To znaczy – wymiana prac, a nie jednostronne wypożyczenie.

– (śmiech) Z olbrzymim zainteresowaniem zobaczę, jak ta współpraca „na naszych warunkach” będzie wyglądała.

Pan się nie chwali, a przecież doradzał pan Tate w sprawie zakupów do kolekcji, a z MoMA – i to z inicjatywy Amerykanów – MS współpracuje od ładnych paru lat.

– W 2010 r. odwiedziła nas kilkunastoosobowa grupa specjalistów z MoMA, a ponieważ nasze muzeum i to, co robimy, wydało się im interesujące, zaproponowano nam stałe partnerstwo. Uznano, że jako dwa najstarsze istniejące muzea sztuki nowoczesnej powinniśmy współpracować na szczególnych zasadach. Kuratorzy z Nowego Jorku przyjeżdżali do Łodzi, by badać nasze zbiory i archiwa, zaproszono też naszych kuratorów na pobyt badawczy w MoMA, a także do publikowania tekstów na specjalnej platformie tego muzeum. Do tego dochodziła właśnie wy-



*Jarosław Suchan

• Od 2006 r. do października 2021 r. dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi, od listopada 2021 r. pełniący obowiązki dyrektora. Niespodziewanie odwołany 25 kwietnia; na jego miejsce wicepremier i minister kultury Piotr Gliński powołał Andrzeja Biernackiego, twórcę Galerii Browarnej w Łowiczu, wydawcę, malarza, publicystę, blogera.

• Jarosław Suchan urodził się w 1966 r. w robotniczej rodzinie w śródmieściu Krakowa. Jest absolwentem historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1999-2002 był dyrektorem krakowskiej galerii Bunkier Sztuki, później – wicedyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski.

miana dzieł. Tam pojechała między innymi nasza Kobro, o czym już mówiłem, a do nas chociażby ostatnio obraz Kazimierza Malewicza. A trzeba wiedzieć, że takie wypożyczenia nie są oczywiste. Wartość dzieła Malewicza jest astronomiczna, dlatego wypożyczany jest bardzo rzadko. A MoMA nie tylko się na to zgodziło, lecz także objęło obraz własnym ubezpieczeniem, co pozwoliło nam zaoszczędzić kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Pan się nadal nie chwali, ale ta konsekwentna praca zaowocowała zaproszeniem pana do grupy Bizot. – Rzeczywiście, od zeszłego roku byłem członkiem tego grona, które skupia około 60 dyrektorów najważniejszych muzeów świata, od Luwru przez British Museum, Muzeum Guggenheima po Muzea Watykańskie. W tej grupie MS jest jedną z ledwie trzech instytucji z naszej części Europy. A w zasadzie powinienem powiedzieć „było”, gdyż zaproszenie ma charakter imienny i decyduje o nim ocena nie tylko znaczenia muzeum, lecz także dokonani kierującej nim osoby. Wraz z jej odejściem muzeum wypada z listy.

Jak wyglądał ten feralny poniedziałek 25 kwietnia? Wstał pan i... – I wsiałem do auta, by pojechać do Warszawy na umówione kilka tygodni wcześniej spotkanie z wiceministrem kultury Jarosławem Sellinem. Mielisśmy omawiać kwestie związane z przyszłością muzeum. Tymczasem minister wręczył mi pismo mówiące, że decyzją premiera Glińskiego przestaję pełnić obowiązki dyrektora i że decyzja wchodzi w życie z momentem jej przekazania. Jeszcze tego samego dnia został powołany mój następca.

Zapytał pan, kto nim jest? – Nie, byłem zbyt zszokowany. Chciałem jak najszybciej opuścić gabinet. O tym, kto mnie zastąpi, dowiedziałem się później.

Piotr Rypson, przewodniczący Komitetu Narodowego Międzynarodowej Rady Muzeów ICOM, sam zresztą wy-

rzecony w 2018 r. z Muzeum Narodowego w Warszawie, powiedział, że powinien pan dostać od ministra medal, a nie dymisję. Po 16 latach pracy i uczeniu z MS instytucji grającej w światowej pierwszej lidze zwolniono pana podstępnie w ciągu minuty. Co się czuje w takiej chwili?

– Czulem się oszołomiony, trochę też upokorzony. Nie tyle samą decyzją, co sposobem jej przekazania. Nie potrzebuję medali i wiem, że dyrektorem nie jest się wiecznie, ale uważam, że można było to zakończyć, zachowując większą przyzwoitość.

I jak pan myśli, po co pana tak upokorzono? – Właśnie tego nie rozumiem. Można było osiągnąć ten sam efekt, przeprowadzając zmianę w normalny sposób. To głęboko nieracjonalne.

Może to rewanż za pańskie afrody wobec marszałka województwa łódzkiego oraz ministra, którym pan jako dyrektor podlegał? Marszałkowi nie chciał pan ponoć udostępniać przestrzeni muzealnych na spotkania czy konferencje. A ministrowi podpadł pan, bo nie chciał zmienić tytułu organizowanego przez pana międzynarodowego kongresu muzealników „Pod presją. Muzea w czasach ksenofobii i zagrożenia klimatycznego”.

– Panu premierowi rzeczywiście nie podobala się ta „ksenofobia”. Uznał, że jest to nawiązanie do kryzysu uchodźczego na granicy polsko-białoruskiej, i tuż przed rozpoczęciem kongresu sugerował, by zmienić jego temat. Kongres był przygotowywany od dwóch lat we współpracy z wielką międzynarodową organizacją, więc oczywiście nie byłoby to możliwe. Nie widziałem też uzasadnienia takiej zmiany.

Faworytem pana marszałka chyba nigdy nie byłem, a co do premiera Glińskiego, to myślę, że jeśli wcześniej miał jakąś wolę dalszej współpracy ze mną, to z powodu kongresu znacząco ona osłabła.

Może to upokarzanie bierze się stąd, że po prawie siedmiu latach rządzący

są już tak upojeni władzą, że myślą, że im wszystko wolno? Przecież szokujące zmiany w CSW Zamek Ujazdowski i w Zachęcie nie spotkały się z jakimś wielkim oporem. Wiadomo było, że w Łodzi też rewolucji nie będzie. – Rewolucji nie będzie, ale koszty wizerunkowe – owszem. Rozumiem, że te wydarzenia nie interesują większości społeczeństwa, więc masowych protestów nie wywołają, mogą jednak poważnie zaszkodzić wizerunkowi polskiej kultury w świecie i utrudnić międzynarodową współpracę kulturalną. Krytycznie na temat zmiany w Muzeum Sztuki wypowiedziało się wiele czołowych postaci świata sztuki, dyrektorów najważniejszych muzeów, kuratorów, artystów, badaczy.

Światowa mafia bardzo kulturalna! – Tak, tak, światowa mafia broni swojego (*śmiech*).

Ale mimo wszystko muzea nie są dla muzealników, tylko dla zwykłych ludzi. „Instytucja, która kosztuje państwo rocznie 21 mln zł, powinna być liczniej odwiedzana” – mówi pana następca. Ilu ludzi rocznie odwiedza MS?

– Ponad 100 tys. Zanim rozpocząłem pracę w Łodzi w 2006 r., było to między 10 a 20 tys. Jak mi mówili ówcześni pracownicy, były dni, kiedy do muzeum nie przychodził nikt.

Trzeba przy tym zauważyć, że w przeciwieństwie do Warszawy w Łodzi nie ma zbyt wielu instytucji oswojających ze sztuką współczesną i w ten sposób poszerzających grono jej odbiorców. Muzeum musi w zasadzie samo budować sobie publiczność. Uda się to dzięki wspaniałej pracy zespołu edukacyjnego oraz osób odpowiedzialnych za upowszechnianie, komunikację, budowanie kontaktów. Oczywiście frekwencja byłaby jeszcze większa, gdybyśmy robili wystawy sztuki lekkiej, łatwej i przyjemnej, tego, co już oswojone i przetrawione przez mass media. Byłoby to jednak całkowitym zaprzeczeniem naszej awangardowej tradycji, a przede wszystkim zaprzeczeniem misji, jaką muzeum jako instytucja powinno wypełniać. Tą misją nie jest dostarczanie rozrywki, przyjemności dla samej przyjemności, ale stwarzanie warunków, w których mogą się rozwijać nasza wyobraźnia, zdolność kreatywnego myślenia, umiejętność samodzielnego interpretowania rzeczywistości. Moim zdaniem wiele problemów współczesności bierze się z tego, że ludzie nie potrafią samodzielnie i krytycznie patrzeć na świat, dlatego łatwo ulegają narzucanym im uproszczonym wizjom i poglądom.

Pobudzanie do samodzielnego i krytycznego myślenia nie jest z pewnością priorytetem naszej władzy. – Polityka obozu rządzącego oparta jest na XIX-wiecznej dydaktyce. Wyraża się w paternalistycznym podejściu do społeczeństwa i narzucaniu systemu wartości, który wyznaje władza. Nie ma tu miejsca na rozwijanie krytyczności.

Minister Gliński powoli, ale konsekwentnie dokonuje zmian na kluczowych stanowiskach w świecie sztuki. Najpierw zmienił ekspertów przyznających dotacje na sztukę współczesną – zajęła się tym m.in. Monika Małkowska od „mafii bardzo kulturalnej”. Potem były głośne zmiany w Muzeum Narodowym w Warszawie, warszawskim CSW, Zachęcie. PiS-owskie władze województwa śląskiego wyrzuciły Alicję Knast z Muzeum Śląskiego. Było też wrogie przejęcie Muzeum II Wojny Światowej i paraliżowanie Muzeum Polin. Do czego to zmierza?

– Rząd chce zyskać narzędzia do realizowania własnej polityki. I do pewnego stopnia jestem w stanie to zrozumieć, mam jednak dwa zastrzeżenia. Po pierwsze – w demokratycznym państwie rząd realizuje politykę kulturalną w imieniu nie tylko swojego obozu politycznego, ale także całego społeczeństwa. Również tych, którzy mają odmienne wizje tego, co w kulturze jest ważne. Państwo, w tym jego instytucje takie jak muzea, jest bowiem własnością nas wszystkich, a nie jedynie tych, którzy głosowali na zwycięską partię. Po drugie – instytucje powinno się powierzać osobom mającym odpowiednie kompetencje. A to niestety nie zawsze ma miejsce.

Ale mamy przykłady mianowań osób bliskich światopoglądowo obozowi władzy, a kompetentnych. To choćby Andrzej Szczerski, który został szefem Muzeum Narodowego w Krakowie. Zresztą sam go pan zaprosił do zrealizowania w MS światnej wystawy „Modernizacje 1918-1939. Czas przyszedł dokonany”.

– No właśnie. Żadna lewicowo-liberalna „mafia” nie protestowała przeciwko jego mianowaniu. Mamy bowiem do czynienia z doświadczonym fachowcem, kuratorem, badaczem, który w dodatku wcześniej był wicedyrektorem Muzeum Narodowego.

Piotrowi Bernatowiczowi też trudno odmówić fachowości – ma doktorat z Picassa, wykładał na UAM, od lat był w obiegu jako krytyk sztuki, potem prowadził poznański Arsenal – ważną galerię. Jak się panu podoba to, co robi w Zamku Ujazdowskim? – Nie odpowiada mi ten rodzaj myślenia o polityczności sztuki.

Czulem się oszołomiony, trochę też upokorzony. Nie tyle samą decyzją, co sposobem jej przekazania

Jaki to rodzaj? – Taki, w którym sztukę wykorzystuje się do wzmacniania już istniejących politycznych podziałów. Do utwierdzania widzów w swoich poglądach i wyobrażeniach. Tak użyta sztuka nie jest w stanie niczego w widzu zmienić, nie jest w stanie pobudzić go do samodzielnego myślenia. Nie wychowuje świadomego w politycznych decyzjach obywatela.

Co dalej? Przeraża pana pusty kalendarz? – Nic podobnego. Nigdy nie czulem się tylko menedżerem, więc moje życie zawodowe nigdy nie ograniczało się do zarządzania muzeum. Z wykształcenia jestem historykiem sztuki i zawsze starałem się kontynuować działalność badawczą, realizując wystawy, pisząc teksty czy opracowując naukowe publikacje – chociaż łączenie tego z pracą administracyjną było bardzo trudne. Teraz także mam tego rodzaju zobowiązania.

Ale ma pan propozycje? – Pojawiają się nie od dziś.

Z Polski czy ze świata? – Ze świata też. Ale na razie jestem zmęczony zarządzaniem. Od 23 lat się tym zajmuję i chwilowo mam dość. Myślę o uczelni, o pracy naukowej, mam pomysły na kolejne wystawy i publikacje. ●

Witamy
w Polsce



Cykl
Witamy w Polsce
tworzy zespół
kilkudziesięciu
reporterów
pracujących
w 33 redakcjach
„Wyborczej”
w całym kraju

– Piliśmy przez kilka dni, wódkę i nalewki. To wszystko mi się zlewa. Nagle rano obudziliśmy się przytulona do trupa – mówi Julita, która spędziła w więzieniu 12 lat.

Julita jest szczupła, niewysoka. Ubiera się elegancko – zwykle nosi sukienki i biżuterię. Ma charakterystyczne czerwone włosy. Pod nimi kryje się wklęsnięcie z tyłu głowy, smutna pamiątka z dzieciństwa.

Kiedy miała nieco ponad rok, ojciec złapał ją za nogi i rzucił na stare radio. Uderzyła głową o jego kant. Julita tego nie pamięta, historię opowiedziała jej matka. Wie tylko, że bardzo płakała.

Tata Julity był alkoholikiem. Bił głównie jej matkę, a córka – jedynaczka – była kartą przetargową w ich sporach. Rodzice rozwiedli się, kiedy Julita miała kilka lat. Matka wychowywała ją twardo. Jak przychodziło do kary, mówiła „część za ojca, część za matkę”. Ich mieszkanie było małe, miało dwa pokoje; łącznie 24 metry kwadratowe przedzielone na pół meblami.

Po kilkunastu latach matka Julity wyprowadziła się do nowego partnera, a Julita została sama – z mieszkaniem i jej długami, bo zalegała z czynszem.

PO SZEŚCIU LATACH UDERZYŁ

W pierwszą ciążę Julita zaszła, jeszcze zanim skończyła 18 lat. Urodziła Elizę. Ojciec dziecka ją zostawił. Przez pięć lat sama wychowywała córkę.

Potem zakochała się w Wojtku. Początek był dobry: przynosił jej kwiaty bez okazji, uzupełniali się w obowiązkach domowych. W kuchni ona robiła lepsze sosy, ale on też miał swoje popisowe dania.

– Już wtedy pracowałam jako salowa. Pamiętam, że Wojtek pięknie prasował mi mundurki – wspomina Julita.

Znów zaszła w ciążę. Nie planowali tego, najpierw chcieli się trochę dorobić, bardziej ustakować. Julita krwawiła przez trzy miesiące. Poszła do ginekologa. W badaniu niespodziewanie wyszła ciąża bliźniacza, zagrożona. Julita nadal pracowała. Dzieci urodziły się na początku szóstego miesiąca. Od razu trafiły pod respirator. Dawid miał wylew krwi do mózgu, Patrycja miały problemy z płucami, potem doszła jeszcze żółtaczka spowodowana nieprawidłową transfuzją krwi.

– Lekarz przyszedł do mnie po porodzie i zapytał: „Czy pani chce, żeby pani dzieci żyły?”. Wypisał receptę. Leki były trudno dostępne i drogie – trochę pieniędzy pożyczyłam, sprzedawałam to, co miałam cennego, na przykład złotą biżuterię. Pierwszą część leków dostał Dawid, na drugą – dla Patrycji – złożyłam się z inną matką wcześniaka, która musiała zamówić dawkę za dużą dla jej dziecka, bo tylko taka była dostępna – opowiada Julita.

Bliźniaki dobrze reagowały na leki, przeżyły. Julita z Wojtkiem w ciągu kilku miesięcy dostali od miasta mieszkania socjalne – porządne, dwa pokoje z kuchnią.

Po sześciu latach udanego związku Wojtek wrócił do domu pijany. Dzieci były wtedy u mamy Julity.

– Tak mnie zmasakrował, że następnego dnia nad mną płakał – mówi Julita.

Nie poszła do lekarza, nie zrobiła obdukcji. Po pierwszym razie bicie zdarzało się częściej. Wojtek zaczął ją zdradzać. Nadal mieszkali z dziećmi,

ale żyli obok siebie. Julita: – Nie mieszałyśmy w to dzieci. Zauważały, że coś jest nie tak, tylko w czasie awantur.

Wojtek z czasem coraz bardziej imprezował, często z towarzystwem młodszym od siebie. Julita mówi, że prawdopodobnie nie tylko pił, ale też brał narkotyki. Uzależnienie go zabiło.

Po jego śmierci do Julity zaczęły pukać osoby, którym był winien pieniądze. Wtedy też zmarła jej matka, która chorowała na raka.

– Byłam psychicznie rozbita. Zaczęłam sięgać do kieliszka. Koilał ból – mówi Julita.

PILI RAZEM PRZEZ KILKA DNI

Po śmierci Wojtka Julitę pocieszał jego kolega – Janusz. Razem pili, aż wylądowali w łóżku.

Eliza – najstarsza córka Julity, jeszcze wtedy niepełnoletnia – uciekła z domu. Matka pojechała za nią do Szczecina, żeby zorientować się, co się dzieje i w jakim towarzystwie obraca się córka. Janusz nie był zadowolony. Zwykle nie bił Julity, ale stosował agresję słowną – wyzywał ją i poniżał. Najbardziej bolało ją, kiedy mówił „ty kurwo”.

Po powrocie ze Szczecina Julita chciała udobruchać konkubenta alkoholem. Eliza nie wróciła z matką, a bliźniaki były poza domem – już wcześniej teść Julity doprowadził do tego, że umieszczono je w placówce wychowawczej. Matce nie odebrano praw rodzicielskich, ale jedynie je ograniczono.

Pili przez kilka dni, wódkę i nalewki: – To wszystko mi się zlewa. Nagle rano obudziliśmy się przytulona do trupa. Pobiegłam do sąsiadów, żeby wezwali pomoc – mówi Julita. Niewiele pamięta z tamtego wieczoru i nocy.

Janusz miał ranę nad sercem, po lewej stronie.

– Biegłym trudno było wyjaśnić, jak Janusz po takim ciosie dostał się do łóżka – mówi Julita. Śledczy, którzy szukali narzędzia zbrodni, zbadali 12 kuchennych noży z ich domu, którymi potencjalnie można było zadać cios. Ale żaden nie pasował do rany.

Julita: – Janusz lubił kroić sobie jabłko małym nożem. Ten nóż leżał wtedy na stole.

Najprawdopodobniej zabiła konkubenta właśnie tym małym nożem do obierania jabłek.

W śledztwie było więcej niewyjaśnionych kwestii: – Na początku zidentyfikowano krople krwi na klatce schodowej. Kiedy sprawa ruszyła, nie było już o tym mowy – opowiada Julita.

Zatrzymano ją i umieszczono w areszcie w Bydgoszczy. Miała 2,4 promila alkoholu we krwi, ale nie czuła się pijana.

ODSIADKA I TĘSKNOTA

Julitę oskarżono z art. 148 Kodeksu karnego – za zabójstwo. Dostała 12 lat więzienia.

Tęskniła za dziećmi.

– Codziennie miałam nadzieję, że mi wybaczą. Pisałam listy do bliźniaków. Na początku musiała je czytać pani psycholog. Przeważnie prosiłam ich o wybaczenie i pisałam, że ich kocham – opowiada.

Julicie udało się dostać do programu „Odzyskana nadzieja”. Dzięki temu mogła z pokoju wychowawcy dzwonić do ośrodka wychowawczego i rozmawiać z bliźniakami.

Ale najstarsza córka Julity nie odzywała się do matki. W końcu ciocia Julity przekazała jej kontakt do Elizy, która była już wtedy w Irlandii. Pojawiła się trudność – żeby zadzwonić za granicę, Julita potrzebowała dwóch kart telefonicznych.

– W więzieniu poznałam dwie dziewczyny, o których mogę powiedzieć, że są moimi przyjaciółkami. Też siedziały za zabójstwo. One mi pomogły zdobyć drugą kartę – wspomina.

Nie miała z córką kontaktu przez siedem albo osiem lat; już nie pamięta dokładnie. Pierwsza rozmowa z więzienia to był jeden wielki płacz.

– Eliza powiedziała mi, że mnie kocha. Ja, że też ją kocham. Nawet dzisiaj trudno mi się o tym mówić, ciągle to czuję. Płakałam tak bardzo, że oddziałowa krzyknęła: „Julita, ktoś ci umarł?”. Dałam telefon koleżance, a ja spróbowałam się uspokoić. Koleżanka szybko zorganizowała mi kolejną kartę i wtedy już normalnie rozmawiałam z córką – mówi Julita.

WŁASNY GARNITUR

W więzieniu Julita pracowała jako pomoc kuchenna, trochę też sprzątała. Podczas odsiadki skończyła szkołę krawiecką i gastronomiczną. Jeszcze zanim zaczęła pracować, pomagała innym więźniarkom.

– Walutą w więzieniu były kawa, papierosy i karty telefoniczne. Za pięć papierosów sprzątałam celę, za trzy robiłam dziewczynom pranie. Trzy papierosy starczyły mi na pięć łyżeczek kawy – opowiada.

Śledczy, którzy szukali narzędzia zbrodni, zbadali 12 kuchennych noży z ich domu, którymi potencjalnie można było zadać cios. Ale żaden nie pasował do rany



FOT. MACIEJ WASILEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Chociaż więzienie zabierało dużą część zarobków, Julicie przez lata udało się zaoszczędzić około 4 tys. zł. Niektórzy, wychodząc z więzienia, mają jedną reklamówkę. Ona miała więcej rzeczy, w tym granatowy garnitur, który sama sobie uszyła na egzamin w szkole krawieckiej, razem z białymi bluzkami. Zrobiła dla siebie też sukienki i spódniczki.

Modliła się w więziennej kaplicy. Strażnicy pilnują tam więźniarki, zdarza się jednak wymienianie towarów albo obmacywanie. Julita przychodziła tam dla Boga.

– Nie zawsze mogłam być na mszy co tydzień, czasem miałam wtedy pracę, ale przychodziłam, kiedy mogłam. Jestem wierząca. Może tylko nie do końca praktykująca, bo jeszcze nie dorosłam do spowiedzi po tym, co się wydarzyło w moim życiu – mówi.

Po sześciu latach odsiadki Julita zaczęła wychodzić na przepustki – z księdzem, który odprawiał msze w grudziądzkim więzieniu.

Julita: – Raz ksiądz zabrał mnie i jeszcze jedną dziewczynę na dłuższą przepustkę. Najpierw pojechaliśmy na nabożeństwo, a potem na plażę. Pierwszy raz od siedmiu lat się kąpałam.

Aż do wyjścia na wolność Julita jeździła na przepustki z księdzem Wojtkiem. W międzyczasie na jej drodze pojawił się jeszcze jeden ważny człowiek – Waldemar Dąbrowski, założyciel ośrodka Mateusz. Od 2009 roku zajmuje się readaptacją więźniów w Toruniu, a od 2016 roku – także w Grudziądzu. Jego ośrodek to jedyne takie miejsce w Polsce, które przygotowuje byłych więźniów do życia po odsiadce, dając im prawdziwy dom, którego w wielu przypadkach nigdy nie mieli.

Julita kilka razy poszła na spotkania, które Dąbrowski prowadził w więzieniu. – Później nawiązałam z tatą kontakt telefoniczny. To było dla mnie światelko w tunelu – mówi Julita.

„Tata” to Dąbrowski – tak nazywa go wielu mieszkańców ośrodka. Julita podkreśla, że Dąbrowski przygarnął ją jak sierotę, wziął za rękę i poprowadził. On żartuje z kolei, że ma już około 200 dzieci, bo tyle osób przewinęło się przez ośrodek.

Julita dołączyła do programu „Przedśionek wolności”, w ramach którego Dąbrowski pisze do więźniów, rozmawia z nimi przez telefon, a niektórych zabiera na przepustki, nawet trzydniowe. Julita na przepustce spędziła m.in. święta Bożego Narodzenia w domu Dąbrowskiego.

– Tata zabierał mnie też na zakupy – mówi Julita. – Dawał mi pieniądze do ręki, nawet cały portfel. Ro-

biliśmy duże zakupy, planowaliśmy, co ugotujemy, co będziemy jedli.

ŻYCIE NA NOWO

Julita bała się, że po opuszczeniu więzienia nie będzie miała gdzie mieszkać. Po połowie odsiadki starała się o mieszkanie, ale odpowiadano jej, że do 2017 roku – czyli do końca wyroku – ma przecież zapewniony dach nad głową, więc odpada z listy oczekujących.

Wyszła z więzienia 9 października 2017 roku. Odebrał ją Dąbrowski; знаła już wtedy większość mieszkańców Mateusza. Zanim pojechali do domu, poszli jeszcze do cukierni. Julita kupiła dużo ciasta, żeby poczęstować pozostałych mieszkańców domu.

– Pojechaliśmy do domu, a ja jeszcze nie dowiedziałam. Plakałam z radości, że mam dom, że są koło mnie normalni ludzie, że nie muszę o nic walczyć. Nie wiedziałam, jak będzie w ośrodku, ale zaufałam Waldkowi – mówi Julita.

Dla Julity najtrudniejsza w zderzeniu z rzeczywistością poza murami więzienia była technologia.

– U taty dopiero zaczęłam raczkować. Zwykle rzeczy były dla mnie niezwykle. Uczylałam się na nowo żyć. Nadal nie umiem zapłacić blikiem, boję się też robić przelew. Szanuję moje ciężko zarobione pieniądze, więc zawsze mam kogoś do pomocy – mówi Julita.

Po wyjściu na wolność Julita dorywczo pilnowała dzieci, potem pracowała w kuchni w DPS w Grudziądzu. Na krótki czas wyjechała też do córki do Irlandii – zajmowała się wnukiem w czasie wakacji.

– Zabierałam go na świeże powietrze, nauczyłam grać w piłkę. Codziennie rano skakaliśmy razem na trampolinie i liczyliśmy do 100. Uczylałam go liczyć po polsku. Ale to była inna kultura, inny świat i język. Nie radziłam sobie emocjonalnie. Zadzwońiłam do Waldka z płaczem. Wróciłam – mówi Julita.

Dąbrowski odebrał ją z lotniska i znów dał pokój w ośrodku.

Ale Julita chciała pójść na swoje, znaleźć jakąś stałą pracę. Wydrukowała kilkanaście sztuk CV.

– Nie znałam Torunia. Pomyślałam, że w pobliżu jest szpital, a tam zawsze brakuje rąk do pracy, więc zaniósłam swoje CV – mówi.

Napisała w nim, że pracowała w kuchni w zakładzie karnym. Osoba przyjmująca CV w szpitalu ją o to zapytała. Julita otwarcie wyznała, że odbywała karę i za co. Rekruterka była zdziwiona,

ale Julita tego samego dnia dostała telefon i ofertę pracy.

Najpierw pracowała jako salowa na SOR-ze, teraz na oddziale intensywnej terapii. Kiedy zaczęła zarabiać, wyprowadziła się z ośrodka i wynajęła własny pokój; duży, z balkonem. Do pracy ma piętnaście minut pieszo, do Mateusza też blisko.

Płaci nie tylko za swoje mieszkanie, ale też pobyt syna w Domu Pomocy Społecznej – to kilkaset złotych miesięcznie.

– Sama nie wiem, skąd mam na to wszystko siłę. Czasami płaczę ze złości – mówi Julita. Uspokaja ją zabawa z psami w ośrodku Dąbrowskiego. Mateusza odwiedza jak rodzinę – wpada na niedzielne obiady, na swoje urodziny, imieniny, święta i – specjalnie dla Dąbrowskiego – na Dzień Ojca. ●

Najciekawsze informacje z Torunia

czytaj na  torun.wyborcza.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34177679

Ulubiony waleczak Rosji

Dmitrij Biwoł pokonał legendę boksu Saula Canelo Alvareza i teraz chce stawiać warunki. Czy do ringu w USA wróci rosyjska flaga i rosyjski hymn?

Radosław Leniarski

Dima, moldawsko-koreański dzieciak, który wyrósł na mistrza świata wagi półciężkiej wersji WBA, urodził się i zaczął boksować w Kirgistanie, a mieszka w Sankt Petersburgu. Mimo pokręconego i – przynajmniej – nierosyjskiego życiorysu kibice w Rosji są nim zachwyceni. A po sensacyjnym zwycięstwie nad Canelo Alvarezem już uważają go za swojego największego wirtuoza boksu. Choć walki nie oglądali ze względu na sankcje za napaść Rosji na Ukrainę.

Dobrze, że nie w głowę

W Las Vegas Alvarez, uchodzący za najlepszego pięściarza bez względu na kategorię wagową, bezskutecznie próbował rozbić rywala w sposób, który sprawdził się w poprzedniej walce Meksykanina, czyli objając lewe ramię 31-letniego Biwoła, co miało wyłączyć jego groźną broń – lewy prosty. – Dobrze, że uderzał w moje ręce, a nie w moją głowę – skomentował Biwoł po walce, pokazując siniaki na lewym ramieniu. Z czasem mniejszy od przeciwnika Alvarez – król wagi superśredniej (pokonał go wcześniej tylko Floyd Mayweather Jr.) – poczuł, że kategoria półciężka w wydaniu Biwoła to jednak inna bajka (choć trzy lata temu pobił rywala z półciężkiej, również Rosjanina, mistrza świata Siergieja Kowaliowa).

31-letni Meksykanin przegrał jednogłośnie na punkty 115:113, co należy uznać za dość zaskakujący, ale i wartościowy znak w bok-

• **Dmitrij Biwoł po zwycięstwie nad Saulem Canelo Alvarezem**

FOT. JOHN LOCHER / AP

sie. Mianowicie Canelo, złota kura pay-per-view i serwisu streamingowego DAZN, walczył w meksykańskie święto Cinco de Mayo w „swoim” Las Vegas, gdzie wygrywał na punkty przegrane i zremisowane walki (tu kłania się Giennadij Golowkin z ich pierwszego pojedynku). Bił się przed „swoją” meksykańską publicznością zakochaną w odważnym boksie Alvareza, a także w jego rudych włosach i w tym, że do tej pory nie wypowiedział słowa po angielsku.

W dodatku jego przeciwnikiem był Rosjanin, w czasie gdy prawie każda telewizja świata pokazuje bestialstwa, jakich dopuszczają się przedstawiciele jego ojczyzny w czasie napaści na Ukrainę. W trakcie prezentacji nie grano rosyjskiego hymnu, tylko amerykański, a Biwoła przedstawiono nie jako pięściarza z Sankt Petersburga, ale trenującego w Kalifornii. A do ringu wchodził jako pierwszy, choć bronił tytułu mistrza świata wagi półciężkiej wersji WBA.

Zgoda, tylko dajcie mi walkę

Czy w tych okolicznościach Biwoł (20-0, 11 KO) mógł liczyć na zwycięstwo na punkty, nawet gdyby był lepszy? On sam, negocjując umowę,

na wszystko się zgadzał. Wierzył w siebie. Eddie Hearn, promotor Alvareza (57-2-2, 39 KO), tym razem nie bębnił w werbel patriotyczny, jak wtedy gdy musiał wspomóc sprzedaż biletów na walkę Anthony’ego Joshuy z Aleksandrem Powietkinem. Tam chodziło o pojedynek na Wembley po otruciu w Wielkiej Brytanii Siergieja Skripala przez kremlowskich agentów. Teraz było bardziej ryzykownie: chodziło o pojedynek w USA w czasie agresji Rosji na Ukrainę, z sankcjami szerokimi jak ukraiński step, z zakazem współpracy Amerykanów z rosyjskimi firmami. Przeciw walce protestowali między innymi bracia Kliczko, ale Hearn głosił, że Biwoł jest sam w sobie podmiotem gospodarczym, osobą prawną, poza sankcjami, a jego oficjalne miejsce zameldowania to Kalifornia (zaskoczyło to nawet Biwoła). I zapewne zapłaci mu jego 2 mln dolarów na konto bankowe poza Rosją.

Biwoła pytano o wojnę jeszcze przed walką. Odpowiedział standardowo, jak z przekazu dnia, który wysłali kremlowscy urzędnicy rosyjskim sportowcom biorącym udział w igrzyskach w Tokio i Pekinie. „Sport powinien być daleko od polityki” albo: „Jestem

pięściarzem, nie znam się na polityce”. Jego prawdziwe odczucia trudno zgadnąć, zwłaszcza że rodzina wciąż jest w Rosji.

Biwoł jest nietypowy, owszem, ale nie tak jak Aleksandr Powietkin, pansłowiński apostoł, wyznawca Putina i żywe uosobienie czegoś, co do niedawna uchodziło za rosyjską szczerą duszę. Byłoby to śmieszne, skoro urodził się w kirgiskim miasteczku Tokmok niecały rok przed uzyskaniem niepodległości przez Kirgistan, ojcem jest Moldawianin, a matką Koreanka. Rodzice – Jurij i Jelena – pracowali na swoim czterohektarowym gospodarstwie pod Tokmokiem, a młody boksował: bez kasku, bo wtedy nie było obowiązku, i w znoszonych baletkach (które w Rosji zwane są czeszkami), bo butów bokserskich w Tokmoku chłopcy nie mieli.

Gdy Dmitrij miał 11 lat, rodzina sprzedała dom w Tokmoku za 3 tys. dolarów i wyruszyła szukać lepszego życia do St. Petersburga, gdzie mieszkał brat ojca. Tłoczyli się w dziewięć osób w dwupokojowym wynajętym mieszkaniu, a młody boksował coraz lepiej. Karierę amatorską skończył z bilansem 268 zwycięstw w 283 walkach. Jeśli kiedyś w przyszłości pozwolą ekipie Biwoła wejść do ringu z flagą rosyjską, to będzie ją trzymał właśnie ojciec, jedyny w rodzinie, który oglądał walki Dmitrija, i w dodatku z narożnika.

Ale to raczej nie będzie możliwe jeszcze długo, choć w rosyjskich gazetach sporo jest nadziei, że Biwoł przyniesie tutaj jakąś zmianę, która ucieszy nie tylko kibiców, ale też pierwszego kibica, fana sportów walki Władimira Putina. W kontrakcie Biwoła z Alvarezem jest punkt o rewanżu. Rosjanie uważają, że jako mistrz i zwycięzca Biwoł może podyktować teraz warunki Meksykaninowi. Nie tylko finansowe, ale, powiedzmy, godnościowe.

Czyli: flaga, hymn, godło, pieniądze. W takiej kolejności. ●

Iga Świątek wraca na kort

Polki nie było przez chwilę, kobiecy tenis prawie zniknął. Nie tylko z uwagi na nieobecność Igi Świątek – w męskim tenisie nastąpiło trzęsienie ziemi.

W Madrycie w ubiegłym tygodniu Carlos Alcaraz kończył 19 lat, w trzy dni pokonał trzech najwyższych rozstawionych graczy turnieju: kolejno Rafaela Nadala, Novaka Djokovicia i w finale Alexandra Zvereva. Spektakularna gra Hiszpana, a także powroty – Nadala po kontuzji oraz Djokovicia do formy – absorbowwały kibiców tak bardzo, że inne tenisowe rozgrywki schodziły na dalszy plan.

Równolegle – bez Igi Świątek – rozgrywał się kobiecy turniej,

w którym do ćwierćfinałów awansowała tylko jedna zawodniczka z TOP 10 rankingu (wystąpiło ich siedem) – 10. wówczas Ons Jabeur (ostatecznie zwyciężczyni). Trener i ekspert Dawid Celt, w „cywilu” mąż Agnieszki Radwańskiej, powiedział Onetowi w ubiegłym tygodniu: „Wygłąda na to, że WTA [kobieca federacja tenisa] marketingowo oprze rozgrywki na Idzie Świątek. Już widać, że istnieje taka pokusa”.

Nastroj jest wyczuwalny także wśród zwyczajnych kibiców. Gdy niedawno na okładce jednego z hiszpańskich magazynów dla kobiet ukazało się zdjęcie Polki, pewien kibic napisał na Twitterze, że stylowo i elegancko ubranej tam Świą-

tek „z oczu patrzy tak, jakby miała plan podboju świata”.

Aspekt sportowy można „odhaczyć” jako już załatwiony – Świątek nie przegrała od połowy lutego, wygrała 23 mecze z rzędu, turnieje w Dausze, Indian Wells, Miami i Stuttgartu. W rankingu WTA niespełna 21-letnia Polka ma 2000 punktów przewagi nad numerem dwa, Barborą Krejčíkovą. W tegorocznej klasyfikacji WTA Race jej przewaga wynosi prawie 2500 pkt.

Jeśli medialnie i marketingowo zbliżyłaby się do poziomu sportowego, zostałaby prawdopodobnie największą gwiazdą światowego sportu kobiecego. Stałoby się tak dlatego, że żadna dyscyplina w wydaniu kobiecym nie ma tej rangi co tenis.

Marię Szarapową kojarzyli i kojarzą nawet ci, którzy nie za bardzo wiedzą, jak wygląda rakietista tenisowa. Naomi Osaka, choć rok 2021 miała wyjątkowo bolesny z powodu ataku depresji, zarobiła w nim – według „Forbesa” – prawie 60 mln dolarów. Wielcy sponsorzy pozostali przy niej, choć wygrywała właściwie tylko na samym początku roku, później wiele turniejów opuściła. Na liście „Forbesa”, który klasyfikował najlepiej zarabiające sportsmenki w 2021 r., tenisistki zajęły pięć miejsc w pierwszej dziesiątce.

Turniej Masters 1000 w Rzymie Świątek rozpocznie w środę. Jej ewentualna porażka będzie dużym wydarzeniem, choć

z drugiej strony po tak niezmierniejszej serii zwycięstw byłaby chyba czymś normalnym.

Rywalki jednak stosują przy ocenie Polki kategorie właśnie anormalne. – Coś w niej jest niezwyklego – powiedziała niedawno Maria Sakkari, nr 4 rankingu. – Nie jakaś nadprzyrodzona moc, ale ewidentnie coś wyjątkowego. Przypomina mi bohaterkę z serialu „Stranger Things” [horror science fiction], tę, na którą mówili „Jedenastka” – tłumaczyła. A „Jedenastka” w tym serialu podobno potrafiła m.in. za pomocą siły umysłu przenosić przedmioty (co, trochę wbrew słowom Sakkari, można uznać za nadprzyrodzoną moc). ●

Marek Deryto

W Sądzie Rejonowym w Mysłowicach
pod sygn. I Ns. 460/21 toczy się postępowanie
z wniosku Mikołowskiego
Banku Spółdzielczego w Mysłowicach

O STWIERDZENIE NABYCIA SPADKU

**po Krystynie Długosz ostatnio
zamieszkałej w Mysłowicach,
która zmarła 16.10.2017 r.**

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej,
a w szczególności spadkobierców ojca
spadkodawczyni Pawła Breske, aby w terminie
3 miesięcy od ukazania się powyższego ogłoszenia
zgłosili się do Sądu Rejonowego w Mysłowicach
i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym
razie mogą zostać pominięci w postanowieniu
o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE 34177622

WÓJT GMINY PODGÓRZYN

ogłasza I ustny przetarg nieograniczony

na sprzedaż nieruchomości gruntowej niezabudowanej

oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 715 o pow. 0,5803 ha AM2 obreb 0004 Miłków
gmina Podgórzyn KW JG1J/00041358/1 cena wywoławcza 450 000,00 zł plus 23% VAT.
Przeznaczenie w mpzmm mieszkaniowe i usługowe. Lokalizacja 300m od granicy Karpacza

**Przetarg odbędzie się w dniu 11 lipca 2022 r. o godz. 10:00
w Urzędzie Gminy Podgórzyn Centrum Aktywności Społecznej Pogórze
ul. Żołnierska 13 I-piętro sala konferencyjna.**

Wadium w pieniądzu w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej netto jest wnoszone na
konto depozytowe Gminy Podgórzyn BNP Paribas Bank Polska 50 2030 0045 1110 0000
0102 1100 do dnia **07 lipca 2022 r.**

Szczegółowe informacje o przedmiotach sprzedaży i warunkach przetargów można uzyskać
w Urzędzie Gminy Podgórzyn (pokój nr 12) tel. (75) 7548116 i na stronie internetowej
www.podgorzyn.pl w zakładce sprzedaż nieruchomości oraz BIP Podgórzyn inwestycje
przetargi - sprzedaż nieruchomości.

OGŁOSZENIE 34177533

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz
zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych:
iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan,
Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: pomoc@wyborcza.pl
22 555 54 55, 519 255 455
Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub
z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości
kupienia dodatków: (12) 629 53 11, kolportaz@wyborcza.pl

Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych:
facebook.com/wyborcza, twitter.com/wyborcza,
instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA

Agora SA, ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44

DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Zastępczyni dyrektora wydawniczego:

Joanna Mosiej-Sitek
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA

Dyrektor sprzedaży: Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DRUK: Agora SA

ISSN 0860-908X

Rozpowszechnianie

redakcyjnych materiałów

publicystycznych bez zgody

wydawcy jest zabronione.

